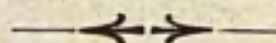
555



HIGH - LIFE.

Berta v. Suttner.



HIGH-LIFE

Tłóm. z niemieckiego.

BR. NEUFELDÓWNA.

Tom I.

WARSZAWA.
Nakładem Redakcyi „Gazety Polskiej“.
Druk J. Sikorskiego. Warecka 14.

1900.

Дозволено Цензурою.
Варшава, 12 Апрѣля 1900 года.



Baronowa Bertha von Suttner

znana jest dzisiaj na obu półkulach świata, jako najgorliwsza orędowniczka pokoju powszechnego, w imię którego wystosowała też, jak wiadomo, niedawno list do Sienkiewicza. Wybitne stanowisko zajmuje ona również śród powieściopisarek austryackich. Urodzona w Pradze, w r. 1843-cim, jako córka feldmarszałka, hr. Kinsky'ego, otrzymała nader staranne wychowanie. W r. 1876-tym poślubiła barona Artura Gundacara Suttner'a,—również utalentowanego powieściopisarza—i przepędziła z małżonkiem lat dziesięć w Tyflisie, Kutaisie oraz innych miejscowościach Mingrelii, dokąd pojechali w odwiedziny do księcia mingrelskiego, Dadjana. Podczas pobytu na Kaukazie przetłómaczyła baronowa Suttner'owa epos gruzyjski Szota-Rustawelli na język francuski.

Na niwie literackiej pracuje baronowa od lat dwudziestu. Pierwsza jej praca była filozoficzną

p. t. „*Inventarium einer Seele*“ (Inwentarz duszy); powieść p. t. „*Manuskript*“ (Rękopis) zjednała jej pewien rozgłos, lecz sławę literacką zapewniła baronowej powieść niniejsza, „*High-life*“, w której autorka, znając dokładnie arystokracyę austryacką, maluje świetnie tę sferę „wyższych dziesięciu tysięcy“, z jakiej sama pochodzi. Z innych utworów baronowej rozgłosem europejskim cieszy się powieść: „*Die Waffen nieder*“ (Precz z orężem); głośną też jest książka jej „*Das Maschinenzeitalter*“ (Wiek maszyn), ostatni zaś większy romans ma tytuł „*Schach der Qual*“ (Szach męce). Obecnie pracuje baronowa nad dziennikiem konferencyi w Haadze, której była czynną uczestniczką. Nadto od r. 1892-go wydaje miesięcznik p. t. *Die Waffen nieder!* który jest organem międzynarodowego związku pokoju w Bernie; stoi też p. Suttner'owa na czele wiedeńskiego związku przyjaciół pokoju, „*Verein der Friedensfreunde*“.

I.

Pierwszy maja w Praterze wiedeńskim. Gdyby śród wielkich wynalazków naszych czasów wymyślił ktoś przyrząd, któryby zdolny był unoszącą się w powietrzu sumę uciechy pochwycić i zatrzymać, to taki pierwszy maja w Praterze, gdy szeregi powozów snują się w tę i ową stronę w wielkiej alei,—stanowiłby dla podobnego doświadczenia podatną atmosferę. Z najwyższych uniesień, jakie człowiek odczuć może, drugie z kolei (pierwsze miejsce zajmuje jednak zawsze miłość), — uniesienie zadowolonej próżności, wzmaga tętno krążącego tu życia. Kobiety, które w potrójnem poczuciu: prawidłowej piękności, nieskazitelnego rodowodu i modnego stroju, rozpierają się w równie prawidłowych pojazdach, przejęte są poniekąd dumą zwycięzcy. I one są tryumfatorkami, a na drodze ich tłum sypie, jeśli nie róże to przynajmniej zazdrosne spojrzenia, które się równają kwiatom. W sali balowej, w loży na operze, tryumfująca piękność

doznaje tych samych rozkoszy, co na przejażdżce w Praterze; tylko że tutaj dołącza się jeszcze niewypowiedziany urok,—urok rozbudzanej wiosną przyrody. W powietrzu, przesyconem wonią bzów, śród skąpanych w blaskach słonecznych liści, drga życie i wesele; panuje odświętny nastrój i przepych odświętny wielkiego balu „Maja," jaki przyroda corocznie wydaje swoim dzieciom, kiedy, przy muzyce ptaków, kwiaty sypią pocałunki i pszczoły puszczają się w pląsy. A od tego odświętnego nastroju tchnie fala podniecenia ku toczącym się powozom.

Księżna Kari Hohenberg była lwicą ubiegłego sezonu zimowego. Wyczerpały ją nieco bale, na których dzierżyła berło wachlarzowe; widowiska dobroczynne, w których grała główne role; żywe obrazy, w których jaśniała największą ilością drogich kamieni na szacie weneckiej... I ją ten powiew majowy orzeźwiająco muskał po czole, gdy, rozparta w powozie, zamieniała w lewo i w prawo uśmiechy i ukłony z jadącymi konno lub w ekwipażach. Obok niej siedziała druga lwica, druga królowa, — albowiem w państwie „towarzystwa" niema rządów monarchicznych; korona błyszczy jednocześnie na kilku pięknych czołach, — siostra księżnej Kari, hrabina Izi Thunen.

Karolina, jest starszą — skończyła lat trzydzieści, w kalendarzu gotajskim można to sprawdzić— i ma rudawo-blond włosy, co ją skłoniło do przywdziania stroju weneckiego w żywych obrazach; Izabela— lat dwadzieścia pięć, — jest silną brunetką, co ją zniewala do ukazywania się na balach kostyu-

mowych w ubiorze wieśniaczki neapolitańskiej. Mężowie obu młodych kobiet istnieją także na świecie, ale chwilowo są w Praterze niewidzialni, a jeśli widzialni, to nie pod tym samym kątem patrzenia, co ich żony. Pozostać niezauważonym, niewspomnianym, pominiętym tam, gdzie chodzi o żonę, to szczególna właściwość męża lwicy salonowej. Wielbiciele i kronika pomijają jego istnienie. Może on być sam przez się osobistością wybitną, — wysokim dygnitarzem, dyplomatą kierującym losami państwa, generałem, sportsman'em, radcą stanu — słowem w swoim zakresie wybitną gwiazdą; ale w charakterze męża uwielbianej będzie zawsze zaćmionem, nic nie znaczącem zerem, które siedzi gdzieś w zakątku loży, albo gra w wista, w sąsiednim salonie, lub też, co wyjdzie na jedno, podróżuje.

Izi nie opiera się o poduszki powozu z takiem znużeniem, jak siostra: nie wsłuchuje się też w świegot budujących gniazda ptaktów, lecz pochyla się naprzód i chciwie łowi uchem dźwięki kapeli wojskowej, która przed „Trzecią kawiarnią“ gra właśnie walca z „Zemsty nietoperza,“ a walc ten opowiada pięknej Izi rzeczy, rozpalające w jej oku przedziwne blaski...

Pojazd dworski, zaprzężony *à la Daumont* nadjeżdża między dwoma szeregami powozów.

— Kari... cesarzowa!

W istocie, monarchini, w towarzystwie młodszej córki, przejeżdża i uprzejmem skinieniem głowy dziękuje za ukłon siostrom, które poznaje; wszakże były ozdobą ostatnich balów dworskich. Dostojna

pani, pomimo godności babki, zawsze jeszcze uderza urodą i młodością.

Minęły wogóle czasy, kiedy babki nie stawały do turnieju podobania się. Balzac wprowadził znów w szranki bojowe kobietę trzydziestoletnią, która za jego czasów uchodziła za emerytkę; dzisiaj zaś walczy już w przednich szeregach i kobieta czterdziestoletnia. Najznakomitsze wielkości teatralne: Patti, Nilsson, Lucca, Geistinger, Wolter — okrążyły już przylądek Przełomowy i płyną ciągle dalej z wydętemi tryumfalnie żaglami, najwybitniejsze wielkości światowe: Galliffet, Metternich, Dudley nie składają koron, chociaż pod niemi zabłyszczy kilka srebrnych nitek; dowcip, wytworność, talent, „*vogue*“, „*chic*“, albo jak się wówczas mówiło „*pschütt*“, nadaje aureolę, która równoważy znikającą młodość.

W powozie starej hrabiny Simmersburg zwraca dziś uwagę nowe zjawisko. Jest to wnuczka hrabiny, siedemnastoletnia hrabianka Gertruda, jasnowłose, cudne dziecko, jaśniejące zdrowiem, tchnące takiem samem weselem wiosennem, jak ten dzień majowy. Pierwszy to raz mała, wychowana w mieście prowincyonalnem i od kilku dni dopiero bawiąca w domu babki, pokazuje się w towarzystwie wiedeńskiem i wywiera wrażenie.

Dopiero w ciągu nadchodzącego karnawału miała być przedstawiona „urzędownie“, t. j. najpierw u dworu, a potem w nadających ton domach Pallavicini'ch, Liechtenstein'ów, Schwarzenberg'ów i t. p. Hrabina Simmersburg liczyła na to, iż wyda wnuczkę dobrze zamąż; bo jakkolwiek nie posiadała żadnego

majątku, w urodzie swojej wszakże miała posag, który pozwalał jej rościć pretensye do najlepszych partyi w kraju. Pod tym względem arystokracya austryacka jest podobna do angielskiej, — niewielki posag wyłącznie daje ich córkom prawo do świetnego małżeństwa. Tak zwani „epuzerowie“ towarzystwa austryackiego, mianowicie spadkobiercy majoratów, nie szukają nigdy bogatych panien na żony. Rzucają chustkę tej „hrabianeczce“, która zdoła wzbudzić w nich namiętność, a uroda posiada najwięcej danych po temu. Być „pięknością“, to także rodzaj rangi. Posiadaczka urody nosi tę swoją godność z taką samą dumą, z taką samą świadomością swego bogactwa, jak córka księcia mitrę, a córka nababa miliony.

Ale Gertruda nie wiedziała jeszcze, że jest pięknością; nie miała pojęcia, że potrafi wzbudzać „namiętności“ i nie znała swego przeznaczenia, nie domyślała się nawet, że ma w turnieju hrabianek zdobyć możliwie wysoką nagrodę.

Ta przejażdżka po Praterze była dla niej wejściem do zaczarowanej krainy. Po raz pierwszy w życiu widziała takie świetne zgromadzenie i patrzyła dokoła ze świadomością, że odtąd świat ten będzie jej światem. Roztaczała się przed nią bezbrzeżna przyszłość, pełna blasku i wesela i nieznanego dotąd przepychu. Po raz pierwszy przywdziała dzisiaj modny kostyum, prawdziwą damską tualetę. Dotychczas nosiła tylko sukienki wełniane i perkalowe, a dzisiaj błyszczała i szeleściła jedwabiem, koronkami i wstążkami atłasowemi. Na kapeluszu *à la* Rembrandt powiewały długie pióra, a pod nim wiła się grzywka.

Gertruda czuła, jakie te jasne loczki, z których jeden spadał aż do ciemnych brwi, były filuterne,— przekonała się zresztą o tem poprzednio w zwierciadle; nie wpadło jej na myśl, że mogła się podobać innym,— podobała się sobie. Jest to uczucie, które podzielały niewątpliwie wszystkie inne rozwijające się pączki, co wonią swoją przesycały ten dzień majowy.

— Nie trzymajże ciągle bukietu pod nosem... i siedź prosto... młodej pannie nie wypada się rozpierać!—strofowała babka.

Gertruda wyprostowała się i opuściła wiązankę róż, którą zasłoniła dolną część twarzy. I babka miała słuszność; szkoda było ukrywać te usta tak kształtnie zarysowane i takie purpurowe, dokoła których drgały takie rozkoszne dołeczki.

Hrabina Simmersburg musiała niejednokrotnie powtórzyć rozkaz, co do bukietu, albowiem Gertruda podsuwała go ciągle pod nosek. Wraz z wonią kwiatów wdychała i woń duńskiej rękawiczki na dwanaście guzików, a te połączone zapachy mówiły jej w swym języku,—bo i zapachy mówią, — „Świat jest ogrodem róż, a ty jesteś obecnie dorosłą panną.“ Miała u siebie w domu dwa tuziny takich rękawiczek, we wszystkich kolorach, i białe między niemi— „do tualet balowych“, powiedziała babka, — a więc będzie chodziła na bale... będzie tańczyła, w takt takiej melodyi, jak melodya tego walca z „Zemsty nietoperza“, — z takimi świetnymi młodymi rycerzami i książętami (przeniosła się całą istotą do zaczarowanej krainy z bajki), jacy tu przejeżdżali konno i powozami... Mimowoli usta jej rozchyliły się błogim

uśmiechem i ukazały dwa rzędy olśniewająco białych zębów.

— Nie śmiejże się tak głupio do siebie, Trudi, i nie patrz ciągle w aleję jeźdzców, przyglądaj się strojom pań w powozach, to daleko bardziej zajmujące i stosowniejsze!

— Co to za cudowne stworzenie ze starą Simmersburg'ową?—zapytał Hans Wetterstein, rotmistrz dragonów i spadkobierca jednego z największych majoratów książęcych,—nie wiesz pan?

Zapytany, Kurt v. Osenov, młodzieniec dwudziestoletni może, odpowiedział nosowym głosem:

— Ta blondynka? Nigdy nie widziałem... Zresztą nie lubię podlotków...

— Widać, mój panie, żeś Niemiec. Podlotek, to specyalność państwa niemieckiego. Nasze wiedeńskie hrabianeczki nie mają w sobie nic „podlotkowatego"; po jednym sezonie zamieniają się, że użyję ichtyologicznej przenośni, na wesołe pstrągi i szczupaki i rzucają się na kiełbiki, to jest na nas, że aż miło!

— Mogą być zachwycające, nie przeczę; ale wolę jednak mężatki. Naprzykład siostry Hohenberg'ową i Thunen'ową...

— Ostrożnie! Wszak pan wiesz, że kocham się w ostatniej.

— Zawsze jeszcze nieszczęśliwie?

— Nieszczęśliwiej, niż kiedykolwiek. Oczywiście, musiałbym przez dyskrecyę powiedzieć to samo, gdyby nawet było wprost przeciwnie; ale wówczas nie zapewniałbym o tem tak stanowczo, a zapewniam pa-

na napełniejszem goryczy słowem honoru. Zalotna Izi doprowadza mnie do rozpaczy.

— Ja uwielbiam tamtą... przepyszne rudawe włosy, rozmarzone spojrzenie, tkliwa namiętność!

— A! dyskrecya, to widocznie nie pańska rzecz, co?

— W spojrzeniu... niech pan moich słów źle nie tłómaczy; mówię o oczach księżnej Kari.

— Czy zawrócimy jeszcze raz? — spytała Izi, gdy powóz po raz czwarty czy piąty jechał aleją;— zdaje mi się, że będzie dosyć.

— Tak, będzie dosyć... Do domu! — krzyknęła Kari stangretowi i powóz potoczył się wraz z wielu innemi powracającemi ulicą Prateru.

Powrót jest równie świetny, jak wjazd, a wzdłuż całej drogi publiczność tworzy szpaler. Liczni przechodnie, wracając z Prateru, czarną masą zalegają trotuar; przed kawiarniami wszystkie stoliki marmurowe są zajęte; w sklepach zaczynają rozbłyskiwać płomienie gazowe, powietrze jest ciepłe i duszne. Czy to wonie wiosenne, albo szmer fali ludzkiej i hałas turkocących powozów oddziaływa nagle tak przygnębiająco, czy też to ciężar jakiś pierś tłoczy, następując jako reakcya po podnieconym, wesołym nastroju?

Dla Gertrudy rozkosze dnia dzisiejszego nie zakończyły się przejażdżką po Praterze. Babka zabiera ją jeszcze na operę.

Na Ringu dzień jeszcze i wiosna, — ale po za bramą gmachu operowego wieczór już i zima. Drzewa, śpiew ptactwa i woń bzu toną w zapomnieniu;

oświetlone wspaniałe schody, lśniące zwierciadłami ściany, szczególny zapach teatralny— mieszanina gazu, kurzu i perfum—przenoszą nagle w świat zabaw zimowych.

Gertruda bywała niejednokrotnie w swojem mieście prowincyonalnem w teatrze; zawsze z bijącem sercem wchodziła na korytarze, przedstawiające się tak ponętnie z szeregami lóż. Podobnego, tylko daloko silniejszego bicia serca doznała tutaj, gdy lokaj otworzył drzwi i ona weszła za babką do gabinetu przy loży.

Obie zdjęły płaszcze i kapturki. Hrabina Simmersburg wyciągnęła rękę, by uporządkować grzywkę Gertrudy. Taki to już wrodzony popęd wszystkich matek, babek i ciotek, który ich zmusza do poprawiania tualet swoich pupilek, zanim je puszczą na arenę.

— Siadaj tutaj, — rzekła, wskazując wnuczce fotel, stojący bliżej sceny, sama zaś zajęła miejsce w drugim.

Z westchnieniem radości położyła Gertruda wachlarz i bukiet na poręczy loży, podniosła lornetkę do oczu i skierowała wzrok na scenę. Widowisko było już w pełnym biegu. Dawano „Fausta“ Gounod'a. Scena wyobrażała w tej chwili jarmark, różne chóry zmieniały się kolejno.

Ukazuje się Małgorzata—pani Ehnn. W całej sali cisza i natężone oczekiwanie.

„Ja nie dama, nie piękna i t. d.“

Po oddaleniu się Małgorzaty czar znika; na scenie powracają do przerwanego walca, w sali — do rozmów i przeglądu przy pomocy lornetek.

Kurtyna spada. Przyćmiony żyrandol rzuca teraz jasne snopy światła i Gertruda zaczyna rozglądać się po sali.

W lożach kilka świetnych tualet, ale również wiele niepozornych — już maj; większość pań przywdziała skromne stroje spacerowe. W pierwszym rzędzie przy orkiestrze ten dragon, który tak uparcie patrzy do loży Gertrudy, — czy to nie ten sam z Prateru?...

— Trudi, młoda panienka nie patrzy nigdy przez lornetkę do krzeseł. To nie wypada. Nie masz żadnych manier.

Rumieniąc się, kładzie, złajana, lornetkę na krawędzi, ale i gołem okiem, zwróciwszy zlekka głowę, widzi, że lornetka oficera skierowana jest ustawicznie na ich ložę. Czując, że popełnia coś bardzo złego, ale jednocześnie rozkosznie przyjemnego, odwraca główkę całkowicie i patrzy prosto w dwa okrągłe skierowane na nią szkła. Szatanek zalotności, który tak chętnie przebywa w głębi duszy ładnych dziewcząt i tak pomyślnie się rozrasta śród płomiennej atmosfery sal balowych i teatralnych, zaczął się odzywać w Gertrudzie odrazu tego pierwszego dnia jej wejścia w świat.

Teraz kurtyna odsłania ogródek Małgorzaty. Wezwanie Siebla do wiązanki kwiatów, — o których publiczność wie, że zostaną pogardzone, — przyjęte jest też poniekąd z pogardą. Księżna Kari i hrabina

Izi wchodzą do loży, a lornetka Hansa Wetterstein'a przybiera inny kierunek. Piękna Izi nie zaszczyca go wszakże takiem spojrzeniem, jakie otrzymał poprzednio od młodej dziewczyny; oglądając się po sali, spostrzegła go, skinęła mu głową, — ale wnet spojrzała w inną stronę.

W loży jej siedzi jeszcze dwóch panów, z którymi panie rozmawiają z zajęciem. Jednego zna Hans Wetterstein dobrze, — to książę Emil, członek jednego z panujących w Niemczech domów. Drugiego Hans nie zna. Uderzająca to postać. Mężczyzna lat, mniej więcej, 28, z południowemi oczyma, z pięknemi, wschodniemi rysami, ubrany w mundur gwardyi konnej.

Na scenie zaczyna się duet miłosny. Na Małgorzatę pada blask księżyca, Faust klęka u jej stóp. Dreszcz przebiega postać Gertrudy. „Jak rozkosznem życie to“, śpiewa pani Ehnn. Gertruda widzi w duchu siebie na miejscu Małgorzaty, a dragona na miejscu Fausta. I w duszy jej wtóruje głos: „Jak rozkosznem życie to“... a więc taki jest świat! Miłość, przepych, zabawa, muzyka, — o jak to dobrze się urodzić! myśli sobie.

— Trudi, nie rób takiej zachwyconej miny... ten duet jest bardzo ładny, ale nie należy z zachwytu tak przewracać oczu. To nie wypada dla młodej panny.

— Chciałabym już być mężatką, — przebiega po głowie Gertrudy, — nie słyszałabym przynajmniej ciągle tego wiecznego: „Trudi to nie wypada!“

Drugi antrakt. Wetterstein składa wizytę w loży Hohenberg'ów. Za jego wejściem cudzoziemiec oddala się, Książe Emil zostaje.

— *Bonsoir!* — witają przybyłego obie panie, podając mu rękę. Hans siada na wolnem krześle za Izi.

— Któż to był, hrabino, ten interesujący cudzoziemiec, który przed chwilą opuścił panie?

— Ach, książe Dyament? bardzo miły człowiek.

— Dyament? Przyznaję, że to nazwisko zupełnie mi nieznane.

— To tylko jego przydomek, dlatego, że taki bogaty i błyszczący, jak dyament.

— Najpiękniejszej wody? A jakież istotne nazwisko tego rzadkiego drogiego kamienia?

— Jesteś pan doprawdy zabawny. Mówisz takim gniewnym tonem, że możnaby przypuścić, iż jesteś zawistnym, ku czemu nie masz najmniejszego powodu. Jak się jest Wetterstein'em, nie należy być zawistnym względem nikogo na tym świecie.

— Pani hrabina bardzo łaskawa. Jestem też daleki od zawiści. Ale, — dodał ciszej, — mam zawsze skłonność do zazdrości.

Hrabina Izi odwróciła się nieco i, zakrywając twarz wachlarzem przed towarzyszami w loży, spojrzała na Hansa wzrokiem, który mówił: „Jak się jest Hansem, nie należy być zazdrosnym o nikogo.“ Wachlarz opadł znów szybko, błysk w oku zagasł i hrabina Izi mówiła z całą swobodą:

— Prawdziwe nazwisko księcia Dyamenta: Aslan, książe Abchazyi. To Kaukazczyk; przodkowie jego byli królami Abchazyi, kraju, do którego nie sięgają może pańskie wiadomości geograficzne; położony jest nad morzem Czarnem. Książe służy w gwardyi. Dużo bardzo podróżuje... był we Włoszech, w Niemczech, Paryżu, a teraz chce także poznać nasz Wiedeń.

— Bardzo wdzięczny jestem pani hrabinie, dziękuję za jej nauczające wiadomości biograficzne i etnograficzne, — odparł Wetterstein, ciągle jeszcze rozdrażniony.

— Zdaje się, — wtrącił książe Emil do rozmowy, — że ten Azyata zamierza zupełnie zatonąć w fali *high-life'u* europejskiego, a odegra w nim świetną rolę, albowiem jest rozrzutny i głowę ma pustą.

— Wasza wysokość bardzo surowo sądzi.

— Będzie się podobał kobietom, — ciągnął książe dalej, — bo ma krucze kędzierzawe włosy i nos prosty; mężczyznom będzie imponował, bo jest dzielnym sportsman'em, a galeryę olśni, bo roztacza błazeński przepych.

Po chwili Wetterstein opuścił lożę Hohenberg'ów i udał się do loży hrabiny Simmersburg. Serce Gertrudy bić przestało, gdy otwarły się drzwi i wszedł młody oficer. Jakto, — ów piękny kawalerzysta, który jej się tak śmiało przyglądał, był znajomym jej babki, a ona będzie musiała teraz z nim mówić?... może przyszedł na skutek jej spojrzenia? Bladła i rumieniła się, ogarnął ją niepokój, — słowem

była już na najlepszej drodze do zakochania się śmiertelnie, tak śmiertelnie, jak mogą zakochać się tylko podrastające dziewczęta, które nagle w pierwszym mężczyznie, co przyśpieszy bicie ich serca, widzą wcielenie wszystkich nieokreślonych marzeń, wszystkich fantazyi romantycznych, wszystkich przepełniających ich duszę tęsknot i pragnień.

Zmieszanie wzmogło jeszcze czar urody Gertrudy.

— Moja wnuczka... książe Wetterstein,—przedstawiła hrabina.

Hans wyciągnął dłoń do młodej dziewczyny. Nie powinien był tego uczynić, ale nie bez powodu dopuścił się tego wykroczenia przeciw etykiecie.

Gertruda musiała tedy podać swoją drżącą rączkę, a on uścisnął ją tak znacząco, jak gdyby wyczytał wszystko, co się działo w duszy dziewczęcia i chciał tym uściskiem powiedzieć: „Tak, wiem, że się tobie podobam, a ty podobasz mi się również.“

II.

Książe Emil, który czasowo tylko bawił w Wiedniu, zajmował szereg pokojów w hotelu Munsch'a. Pokój wszakże, służący mu za salon i gabinet, utracił zupełnie charakter hotelowy. Książe był wielkim miłośnikiem dzieł sztuki, broni i antyków, to też w przeciągu dwóch miesięcy, spędzonych obecnie w Wiedniu, zakupił mnóstwo posążków, obrazów,

kobierców i t. d., które nadały pokojowi piętno osobiste. Stało również w nim wielkie biurko, — nie hotelowy sprzęt zazwyczaj, bo przejezdni nie tracą czasu na pisanie, — a na niem pełno było książek, broszur, gazet, rękopisów, niby w biurze redakcyjnem.

Książe Emil był smakoszem w literaturze, — dobre książki, świetnie prowadzone polemiki, spory naukowe stanowiły jego sport. Cztery godziny dziennie poświęcał na tę gimnastykę umysłową. Gdziekolwiek był, w podróży, u wód, na swoim zamku rodowym, w stolicy, śród zamętu towarzyskiego, — te cztery godziny zachowywał dla siebie codziennie przed południem. Wieczorem natomiast można go było znaleźć w salonach arystokracyi, w teatrze, na kolacyach kawalerskich,—słowem, w tak zwanym „świecie“.

Zazwyczaj ci, którzy należą do „świata“, nie uprawiają sportu umysłowego, lecz fizyczny, a czas ich jest tak wypełniony obowiązkami towarzyskiemi z jednej i ćwiczeniami w sprawności rycerskiej z drugiej strony, że istotnie nie mają czasu na uciechy literackie i artystyczne. Mogą co najwyżej przerzucić modny na razie romans, przejrzeć dzienniki, spędzić godzinę w galeryi obrazów, zwłaszcza, gdy można z tem, jako „spotkanie przypadkowe“ połączyć schadzkę przed słynnem malowidłem; ale zagłębić się w sprawy umysłowe nie mają wprost możności. Wyścigi wiosną, łowy jesienią; u jednego służba wojskowa, u drugiego sprawy gospodarstwa wiejskiego — wszystko to wypełnia wolny czas człowieka świa-

towego; czasem zajętym zaś jest ten, który poświęca on swemu zawodowi, t. j. bawieniu się, który spędza w buduarze, w sali balowej, za stołem, w klubie, przed i za kulisemi teatralnemi.

Być może, iż książe Emil postępowałby jak inni, gdyby pod względem fizycznym innym dorównywał; być może, iż światowiec, jaki w nim tkwił; poszedłby ręka w rękę ze sportsman'em, gdyby nie przeszkodziło temu kalectwo. Mając lat pietnaście, upadł i złamał nogę. Od owego czasu utykał zlekka, i pozostał mu—przy każdym gwałtowniejszym ruchu—nieznośny ból w biodrze. Ztąd niepodobna mu było jeździć konno, polować, uprawiać fechtunek; nie mógł również wstąpić do służby wojskowej. I zrobił się z niego,—jak mawiali jego towarzysze—„mól książkowy", „zwaryowamy na malarstwie". Tym upodobaniom wszakże poświęcał, jak powiedzieliśmy, tylko połowę swego życia, druga należała do „świata". Może był raczej obserwatorem i krytykiem, niż aktorem, czynnym w wielkiej komedyi salonów, ale brał w niej zawsze udział,—i to chętnie.

Książe jest teraz mężczyzną lat przeszło czterdziestu,—postać to arystokratyczna, ujmująca. Wzrostu wysokiego, szczupły, wyraz twarzy małagodny. Gęste ciemne włosy i długa broda zaczynają siwieć, a na myślącem czole zarysowały się już bruzdy. Dla jednej połowy życia,—używania rozkoszy świata, — minęła już najpiękniejsza pora; dla drugiej — studyowania świata, — zaczyna się dopiero na dobre.

Emil jest kawalerem. Kochał raz kobietę, o której rękę starać się nie mógł, a o małżeństwie

konwencyonalnem nigdy słyszeć nie chciał. Zresztą miał dużo miłostek i przekonał się, że mężowie niezawsze są godni zazdrości. Teraz opowiadano sobie w towarzystwie, że można go bardzo często widzieć obok księżnej Kari, ale nikt nic nad to powiedzieć nie mógł.

Zegar ścienny uderza godzinę pierwszą. Teraz już książę Emil, który siedzi przy biurku i czyta, nie jest pewien spokoju. Wydał raz na zawsze rozkaz,—nie chcąc, by mu przeszkadzano,—aby przed pierwszą nie wpuszczano nikogo, ale po tej godzinie drzwi jego były otwarte dla gości.

Zaledwie też skonał dźwięk zegara, zgłosił się gość,—Wetterstein.

— Czy przeszkadzam?

— Wcale nie... witam.

— Wcale nie witam? W takim razie już idę.

Emil roześmiał się.

— Proszę cię, abyś należycie przecinkował w myśli moje zdania. Siadaj! Cóż cię tu sprowadza?

Braterskie „ty“ nie było właściwie na miejscu między tymi dwoma mężczyznami — ani pod względem rangi, ani wieku. Wetterstein miał lat dwadzieścia siedem i należał do rodziny medyatyzowanej, gdy Emil, człowiek czterdziestoletni, był członkiem domu panującego. Ale podczas jednej z tych kolacyjek, kiedy to serce wzbiera weselem, kiedy obok pocałunków spadających w lewo i w prawo na białe ramiona sąsiadek, każdy biesiadnik gotów jest do owego pocałunku, jakim Schiller każe obdarzać

„świat cały“, — w takiej wesołej, tryskającej, pod wpływem wina, humorem, nakłaniającej do „objęcia uściskiem milionów“ godzinie, wypili na „ty“—i tak już zostało.

Wetterstein, posłuszny zaproszeniu księcia, usiadł w bujaczu, stojącym nieopodal biurka. Obok był stolik z przyborami do palenia. Bezwiednie prawie sięgnął po cygaro: — Pozwolisz? — i zapalił je.

— Pytasz, co mnie tu sprowadza? To cała historya... Ogarnie cię zdumienie, a może uraczysz mnie kazaniem. Bo tobie zdarza się czasem prawić kazania.

— Moje siwiejące włosy upoważniają mnie do tego. Dalej, mów, cóżeś ty zbroił takiego, coby otworzyło upusty mojej kaznodziejskiej wymowy?

— Przychodzę prosić cię, abyś mi zrobił ten zaszczyt i zechciał służyć za świadka.

— Pojedynek? O! przesądy średniowieczne, kiedyż nareszcie powymieracie? Zresztą, jestem do usług. Oczywiście, dołożę wszelkich starań, żeby cię pogodzić z przeciwnikiem; albowiem za wielkie to w moich oczach szaleństwo.

— Drogi przyjacielu, kiedy tu chodzi o inne szaleństwo, nie o pojedynek.

— Boże dopomóż! a zatem małżeństwo?

— Czy dołożysz też wszelkich starań, żeby mnie poróżnić z moją przeciwniczką?

— A więc naprawdę chcesz się żenić?... Winszuję... Cóż na to hrabina Izi? Przepraszam, pytanie niedyskretne. Pozwól, że zapytam cię raczej, kto twoja wybrana?

— Przypominasz sobie tę główkę cherubina w loży starej Simmersburg'owej w tych dniach w Operze?

— To dziecko?

— Gertruda Simmersburg ma już lat siedemnaście. Oświadczyłem się o nią, babka powiedziała naturalnie tak, i ona również; nie jestem jej obojętny. Rodowód bez skazy, uroda bez zarzutu, stryj odda mi majorat, skoro się ożenię... Hrabina Izi będzie się gniewała, ale dlaczego była niedostępna?... Słowem małżeństwo to odpowiada mi pod każdym względem. Nie robię szaleństwa...

— Przestań, proszę, nie broń się tak, jakgdybyś siedział na ławie oskarżonych i prokurator zamierzał domagać się ścięcia twojej szalonej głowy. Przytem bronisz się nędznie: nie przytoczyłeś jedynej okoliczności łagodzącej, która, mojem zdaniem, godna jest uwzględnienia; nie mówisz: jestem w 'ej dziewczynie rozkochany. A kiedy wesele?

— Jesienią. W Czechach, na zamku Simmersburg.

— Jesienią? Bóg wie, gdzie ja wówczas będę!

— Gdziekolwiek będziesz, możesz wsiąść do wagonu sypialnego i stawić się na miejscu, w oznaczonym terminie. Zależy mi na tem bardzo, żeby mieć ciebie za świadka przy ślubie.

— Nie przyrzekam ci, mój kochany. Albowiem na jesieni znajdę się może w takiej okolicy, z której mnie żaden wagon sypialny do Czech nie zawiezie. Noszę się z planem wielkiej podróży. Męczy mnie już ta

jednostajność europejska. W Vichy, w Ostendzie, czy w Karlsbadzie, w Londynie, Paryżu, czy Rzymie, sfera „wyższych dziesięciu tysięcy“ wszędzie jednaka; ta sama odzież, te same rozrywki, te same przekonania... Chciałbym raz pożeglować dokoła świata, albo urządzić wyprawę pod biegun północny, widzieć żywych Afrykanów czy Samojedów, lub też zwiedzić wzgórza Syamu i Annamu; słowem, dostać się gdziekolwiek, gdzie niema flirtu, bazarów dobroczynnych i *five o'clock*'ów.

— Odłóż tę podróż do dzikich, aż po mojem weselu, *there's a good boy!*

— Mój projekt jest i tak jeszcze bardzo niepewny. Obawiam się, że sam nie zdołam się wyrwać. Kto się raz przyzwyczai do danego powietrza, ten się dusi w innem. Bardzo to możliwe, iż, mimo wszystko, spędzę przyszłą jesień raczej w Czechach, niż na Kamczatce.

— Cóżby powiedziała na taką emigracyę Kari?—zauważył Wetterstein.

— A.... odwet za moją poprzednią uwagę. Mój drogi, wymieniona jest niedostępną, — odparł książe.

— Naturalnie, one takie wszystkie!

— Mówisz to z powątpiewaniem, ale zwracam ci uwagę, że to ironiczne „wszystkie“ obejmować ma w przyszłości, i księżnę Wetterstein.

— O, tej już ja strzedz będę!

Lokaj wniósł kartę.

Książe przeczytał:

Le prince Aslan d'Abhazie

Była to pierwsza wizyta, jaką książe kaukazki składał księciu niemieckiemu. Spotkali się w kilku towarzystwach i ograniczali się dotąd tą salonową znajomością.

Emil wstał i poszedł naprzeciw gościa. Zamienili ceremonialne wyrazy powitalne, poczem książę przedstawił wzajemnie obu swoich gości. Rozmowę prowadzono teraz po francusku.

Młody cudzoziemiec mówił z wielkiem ożywieniem i werwą:

— Jestem zachwycony waszym Wiedniem, moi panowie. Niegdyś myślałem, że istnieje tylko jedno miasto, w którem można żyć: Paryż. Ale daję panom słowo honoru, od czasu, jak znam stolicę nad Dunajem, Paryż przepadł. Tutaj jest jeszcze przecież jakieś towarzystwo; biedny Paryż staje się z roku na rok demokratyczniejszy, to jest pospoliciej; rzeczpospolita zmieszała wszystko razem. Podczas ostatniego mego pobytu, Paryż przyprawiał mnie o mdłości. Nie jestem już w tym wieku, kiedy się żyje tylko po to, żeby używać, kiedy się za szczyt szczęścia uważa kolacyę z głupiemi dziewczynami; jestem statecznym, trzydziestoletnim mężczyzną...

— Wyglądasz pan znacznie młodziej i bynajmniej nie na człowieka statecznego — przerwał Emil.— Paryżowi zaś wyrządzasz pan krzywdę. Spędziłem tam ubiegłą zimę i nie miałem bynajmniej mdłości. „Świat kolacyjek“ i na mój wiek również nie jest wystarczającym; ale wszakże to tylko mały ułamek świata paryskiego; nie licząc „świata nudów“, jest tam

wiele literackich, politycznych i bardzo dystyngowanych salonów światowych...

— Niema dworu, niema zamkniętej w swojej sferze arystokracyi; ani śladu tej czystej dystynkcyi, bez żadnej przymieszki, jaką tu znalazłem — odparł Abchazyjczyk. — Może pan myśli, że jestem dziki, bo pochodzę z gór azyatyckich; nie, cywilizacya mnie ukształtowała; ale w mojej krwi zostało coś ze wschodnio-królewskiej surowości moich przodków; zachowałem przesądy feodalne... pogardzam gminem.

— Żałować należy, iż nie żyłeś pan o dwieście lat wcześniej.

— Nie, bo wówczas byłbym istotnie w połowie dzikim. Byłbym wprawdzie nieograniczonym władcą ludu posłusznych niewolników, byłbym wprawdzie takim półbożkiem, jakim są tylko władcy azyatyccy, ale nie zostałbym wychowanym w korpusie paziów, nie poznałbym tych umysłowych uciech, jakie mi dała kultura europejska i wreszcie nie miałbym teraz szczęścia przebywać w waszym czarującym Wiedniu, gdzie z całem wyrafinowaniem nowoczesnych obyczajów łączy się cała aureola starego świata. Wasze Wiedenki z wyższego towarzystwa zachwycają mnie; co za wdzięk, jaka wyniosła godność! a przytem trochę zalotności. A wasza cesarzowa... co za imponująca postać! Szkoda, że nie widziałem jej jeszcze konno. Postanowiłem zrobić w ciągu przyszłej zimy wycieczkę do Irlandyi, jedynie po to, by polować wraz z cesarzową Elżbietą na lisy. *A propos* polowania: Gdybyście, moi panowie, zechcieli zaszczycić mnie

odwiedzinami w mojej ojczyźnie, mielibyście wspaniałe łowy... Właściwie, gdybym był rozsądnym człowiekiem, powinienbym zamieszkać na stałe w moich dobrach i wprowadzać stopniowo w moim cudownym kraju wszystkie ulepszenia, z jakiemi zapoznałem się w Europie. Możnaby w istocie stworzyć coś wspaniałego z tego kawałka ziemi, gdy tymczasem teraz, w rękach moich rządców, służy tylko do zbogacenia tych panów, a mnie daje dwudziestą część tego dochodu, jakiby przynieść powinien. Skończę jednak na tem, że opuszczę służbę, pożegnam europejskie dwory i teatry, miasta i miejscowości kąpielowe, które mi już obrzydły, i zacznę spełniać moje prawdziwe obowiązki, jako książe i właściciel ziemski. Jestem to winien mojej ojczyźnie... Z temi środkami i wiadomościami, jakiemi rozporządzam, mogę posunąć mój kraj o dwieście lat naprzód... Olbrzymie lasy, góry pełne kruszcu, niezabudowane równiny mogę zużytkować w celach wywozowych i eksploatacyjnych; sprowadzam maszyny parowe, ściągam kolonistów, buduję drogi i koleje; puszczam w ruch tartaki, młyny, przędzalnie, fabryki; zakładam szkoły; buduję sobie zamek w stylu Windsorskiego, tylko naturalnie mniejszy; sprowadzam orkiestrę i trupę francuską; goście, do których zaliczam panów obu, ożywiają moją dziką pustynię, a ta zamienia się w siedlisko świetności, przemysłu i dobrobytu. Zadanie to jest wielkiem i czuję, że przypada mi w udziale jako obowiązek... Czy panowie nie uważacie, tylko mówcie szczerze, iż grzechem jest, że ja się tak włóczę po obcych krajach, gdy mój własny czeka na to, aby w moich rękach stać się ra-

jem? Pytam panów, jako ludzi rozsądnych, czy nie powinienem siedzieć w Abchazyi?

— Zapewne — odparł Wetterstein, ponieważ książe Emil nic nieodpowiadał—zapewne, jeśli rzeczy tak stoją, należałoby wrócić do ojczyzny. Gdy człowiek ma, jak mój stryj, namiętność do wprowadzania reform w gospodarstwie rolnem...

— Wówczas czuje, że spełnia misyę—dokończył Aslan; — czy książę jest tego samego zdania?

— Ja — odpowiedział Emil — mam naturę nieco sceptyczną, a do wielu rzeczy, w które nie wierzę, należą także t. zw. „misye“. Każdy człowiek ma misyę możliwie przyjemnego spędzania czasu. Niektórzy osiągają to energiczną działalnością, inni znów wymownem projektowaniem. Znałem przedstawiciela klasy pierwszej, chociaż częściej spotyka się reprezentantów ostatniej, młodego mężczyznę, który mi się wydawał wcielonym obrazem działalności. Wyobraź pan sobie: Pan Mario Elvirez, syn bogatego notaryusza z Cette, kończy świetnie nauki w St Cyr i, jako oficer zuawów, wyrusza z pułkiem do Algieryi. Skutkiem pojedynku... *affaire de femme*... opuszcza Afrykę i służbę, powraca do Paryża i rzuca się na wielkie przedsiebierstwa. Bierze udział w towarzystwie komandytowem sprzedaży smarów; zakłada inne dla sprzedaży siarki, trzecie, zajmujące się umieszczaniem wielkich organów w kościołach, przytem ma kopalnie węgla na Szlązku i redaguje dziennik *La Civilisation*. Stara się o posadę w ministeryum spraw zagranicznych, a zdawszy szczęśliwie egzamin na *bachelier-ès-lettres*, rozpoczyna kroki, by się dostać do rady stanu.

Ponieważ to wszystko mu się udało i pochłonęło wielkie sumy, przeto koncentruje wszystkie siły ku urzeczywistnieniu ulubionego marzenia swego życia: kolonizacyi Afryki podzwrotnikowej. Wydał obszerną rozprawę geograficzno-handlową o urządzeniu agencyi europejskiej w Gwinei i wyprawy nad Niger; oprócz tego projektował założenie faktoryi na wybrzeżu afrykańskiem, celem prowadzenia handlu zamiennego towarami europejskiemi na kość słoniową, olej palmowy i indygo. Chciał w tym celu powołać do życia milionowe towarzystwo akcyjne i nie brakło mu zachęty; Lesseps, Rothschild, ambasador turecki, Arifi pasza i Haurion, komendant St Cyr, zainteresowali się tym projektem. Mario zaś wydał tymczasem romans: „*Les idées d'un Peau-rouge*“ i wynalazł patentowany instrument: *vocigraphe*. Ojciec jego wszakże, przerażony gromadzącemi się protestowanemi wekslami, rozkazuje mu zaciągnąć się w szeregi trapistów lub braciszków Ś-go Jana, a gdy Mario odrzucił obie alternatywy, rodzina oddała go pod kuratelę, poczem został mianowany konsulem w Sierra-Leone.

— Przedsiebierczy chłopak, w istocie — zauważył Wetterstein. — Z tego wszystkiego wszakże najbardziej zdumiewa mnie to, że ty tak rozprawiasz o tych wszystkich sprawach przemysłowych, począwszy od sprzedaży smarów, aż do uzyskania patentu na wynalazek; są to przecież rzeczy, zazwyczaj takie dalekie od naszej sfery.

Książę Aslan był nieco przybity historyą o bogatym w projekty Francuzie. Nie wiedział, czy ksią-

żę Emil chciał sobie z niego zażartować, czy też dać do zrozumienia, że rozwijane poprzednio plany o eksploatacyi Abchazyi uważa za wielką blagę. Odparł tedy na uwagę Wetterstein'a:

— Cóż pan chcesz? taki to duch naszego stulecia. Znamy się teraz wszyscy potroszę na interesach; wszak i ja zamierzam prowadzić u siebie przemysł na wielką skalę i jestem bardzo dobrze obznajmiony ze sprawami wywozu drzewa. Gotów jestem ubolewać wraz z panem nad tym upadkiem. Towarzystwo wiedeńskie dlatego też podoba mi się tak bardzo, że nie tkwi tak głęboko w bagnisku handlowo-finansowem, jak arystokracya innych krajów.

— Cieszy mnie, że moja ojczyzna i moi rodacy zyskali takie względy u pana — odparł Wetterstein i wstał. — Kiedy się zobaczymy? — spytał księcia Emila, podając mu rękę.

— Jakie masz zamiary na dziś wieczór?

— Jestem na obiedzie u hrabiny Simmersburg... Potem chcę wypić szklankę herbaty u Hohenberg'ów, a w końcu pójdę jeszcze do Sacher'a; Osenow wydaje ucztę pożegnalną.

— W takim razie spotkamy się u Hohenbergów... Do widzenia!

Książę Abchazyi pożegnał się również. Emil pozostał znów sam i zatopił się ponownie w przerwanem czytaniu pisma *Deutsche Rundschau.*

II.

Siostry Kari i Izi mieszkały razem. Izi była od pewnego czasu słomianą wdową, gdyż mąż jej, jako sekretarz ambasady austryackiej, spędził zimę w jednej ze stolic północnych. Hrabina nie towarzyszyła mężowi, bo, — jak utrzymywali ludzie — między małżonkami zaszło drobne nieporozumienie, albo też — jak objaśniali sami interesowani — lekarze wzbronili, słabej nieco na piersi, hrabinie pobytu na północy.

Nie chcąc pozostać zupełnie samą, zamieszkała młoda kobieta u siostry, księżnej Hohenberg, i widywano je zawsze razem: w Praterze, w teatrze, na balach. Były najlepszemi przyjaciółkami, — t. j. najlepszemi towarzyszkami zabawy, — w świecie.

Książę Hohenberg, mąż Kari, rzadko towarzyszył paniom na zabawy. Nie był on przyjacielem balów i tym podobnych rozrywek. Jako przywódca stronnictwa zachowawczego zajęty był tak ważnemi sprawami, że to, co się działo w salonach jego świata, było mu zupełnie obojętnem. Polityka absorbowała go całkowicie. Różne małżeństwa w towarzystwie, dzieje „namiętności“, którą ta lub tamta wzbudziła w tym lub owym, jakże to wszystko znikało wobec daleko gwałtowniejszych namiętności, rozpalających się w sferach politycznych! Co znaczyły podboje nowej piękności, wobec możliwych zwycięztw reakcyi?

Książę Ferdynand Hohenberg był młodym jeszcze mężczyzną, okazałej powierzchowności i mógłby odnieść niejeden jeszcze tryumf w salonach, ale długa droga, wiodąca do tych zdobyczy, a wijąca się przez lansiery i kadryle, przez wizyty popołudniowe i w lożach, przez bukiety i cukierki, westchnienia i oświadczyny, była mu zbyt uciążliwą.

Ponieważ jednak księciu Hohenberg'owi potrzebna była rozrywka, przeto szukał jej i znalazł sobie w sposób wygodniejszy, a mianowicie w postaci figurantki z teatru „*An der Wien*“, której wynajął ładne mieszkanie na Ringu i do której szedł na odpoczynek po nużących zajęciach codziennych.

Najbardziej nużącem z tych zajęć było odczytywanie dzienników opozycyjnych. Czytał je wszakże tylko z zamiarem zgniewania się. Nie wpadło mu na myśl zastanawiać się nad zapatrywaniami przeciwników, aby się zoryentować, czy też który z nich nie ma słuszności, czy nie należałoby uwzględnić któregokolwiek z tych zapatrywań. Książę był z góry przekonany, że wszelka słuszność była po jego stronie i że wszystko, co w obozie przeciwnym myślano, mówiono albo drukowano, było błędem lub kłamstwem. Każdemu wolnomyślnemu zapatrywaniu podsuwał pobudkę nieszlachetną i to go w gniew wprawiało.

Wszyscy ci, którzy nie myśleli jak on, byli albo zabłąkanymi na manowce ludźmi słabego umysłu, albo też — i to w większej części — pozbawionymi sumienia spiskowcami. Podsycał gniew swój i pogardę czytaniem ich organów i był pewien, że w ten sposób spełnia obowiązek. Nairytowawszy się porządnie nad

dziennikami wolnomyślnemi, odczytywał dla ukojenia gazety reakcyjne. Najdoskonalszą mękę gazetową zgotowywał sobie wszakże w niedzielę. Kazał mianowicie przynosić wszystkie wychodzące dnia tego pisma humorystyczne i mógł być pewien, że nie w jednem, to w drugiem znajdzie własną karykaturę, albo przynajmniej satyrę na ostatnią mowę, jaką wygłosił w parlamencie. „Ach, ta nikczemna banda żydowska!“ — brzmiał jego sumaryczny sąd o wiedeńskiej prasie humorystycznej; ale nie mógł się przezwyciężyć — musiał czytać te „nędzne świstki“. Przysłowie włoskie mówi: „*Ove il dente duole la lingua tocca*“ — dotykanie językiem chorego zęba boli; mimo to jednak bezmyślny organ powraca ciągle do obolałego miejsca. W myśl tej zasady, książę Hohenberg co niedzielę rano czytał „niecne piśmidła.“

Pałac Hohenberski stoi wśród ogrodu. Mały salonik księżnej, gdzie zazwyczaj spędza przedpołudnie i przyjmuje bliskich znajomych, przylega do tarasu, z którego schody prowadzą do ogrodu. Teraz, w miesiącu maju, kiedy drzwi od tarasu stoją otworem, panuje w saloniku, letnia, wesoła atmosfera. Wpadają doń złociste promienie słoneczne, świegot ptactwa, woń kwiatów.

Godzina druga. Księżna siedzi przed biureczkiem z różanego drzewa i pisze. W otwartej tece leży arkusik papieru z monogramem, na którym biała, zdobna w pierścionki dłoń, kreśli spiczastym charakterem zaproszenie.

Kari ubrana jest w zwyczajną letnią suknię z materyału *écru*, a zwycięska jej uroda nie obawia się skromności tego stroju, podobnie jak nie obawia się wpadającego blasku słonecznego. Cerę ma taką delikatną, jak zwykle blondynki o rudawym odcieniu, a fiołkowe oczy, ocienione wygiętemi rzęsami, pod ciemną, klasycznie zarysowaną brwią, nadają przedziwny urok tej białej twarzy. Tak, Kari jest pięknością i wie o tem. U wielu kobiet uroda jest pułapką dla ich cnoty; księżnej Hohenberg posłużyła za ochronę. Uczucie zadowolonej próżności było w niej takie wielkie, że pragnienie wzbronionych uciech nie zdołało zrodzić się obok niego. Być podziwianą przez wszystkich, dostrzedz u każdego, kto ją pierwszy raz widział, wyraz niekłamanego zdumienia, stanowiło jej najwyższe zadowolenie. Być uwielbianą przez wielu — czyż to nie lepiej, niż być kochaną przez jednego? A wogóle, co znaczy wyraz miłość? Kłamstwo powieściowe — urojenie, dobre dla wieśniaczek i mieszczanek.

Zresztą Kari pielęgnowała w swem sercu wielką miłość, prawie ubóstwienie, które ją chroniło od karygodnych skłonności — miłość dla samej siebie: była zachwycona własną pięknością; wiedziała, że stanie się tembardziej podziwianą i uwielbianą im będzie cnotliwszą; nosiła tedy cnotę swoją, jak się nosi płaszcz gronostajowy: przez próżność i dumę. Przytem była wyniosłą do szorstkości i zimną do okrucieństwa. Przed kilku laty zastrzelił się młody oficer z nieodwzajemnionej miłości dla niej; był to dla przyzwyczajonej do hołdów tylko jeden hołd więcej—

nieco silniej może oddziaływający, niż słaby sonet, albowiem ostatni wiersz — strzał z pistoletu—był jednak patetycznym efektem końcowym. O niewierności męża wiedziała, lecz była jej ona obojętną. Bo obojętnem było jej wszystko. Namiętność, gniew, wzruszenie, zapał — słowem wszystko, co się zwie porywem, było tej spokojnej duszy kobiecej obcem; nie kochała nic w życiu i niczego nie nienawidziła, niczego się nie obawiała i nie pragnęła niczego. Jak łabędź, niepokalany w swej białości, sunie zawsze dumny i spokojny po stawie,—którego wód nie zamąci nigdy burza, którego brzegi okolone są kwiatami,—tak ta łabędziej czystości wielka pani płynęła, niewzruszona po fali swego życia. Obowiązki stanowiska absorbowały jej umysł tak całkowicie, że być obecną na wszystkich zabawach arystokratycznych, mieć dom otwarty dla najwyższego towarzystwa, przodować w charakterze gospodyni najpiękniejszym balom podczas karnawału, najświetniejszym łowom w jesieni i przyjmować wśród swoich gości głowy ukoronowane — uważała niejako za wypełnianie zadań swego powołania. Księżna Kari miała dwoje dzieci: dziesięcioletniego syna—ucznia „*Theresianum*“ — i czteroletnią, powierzoną opiece bony angielskiej księżniczkę, której „*nursery*“ znajdowała się w innem skrzydle pałacu.

Hrabina Izabela,— albo, jak ją powszechnie nazywano, hrabina Izi — nie była ani pod względem fizycznym, ani moralnym podobna do siostry. Miała naturę ognistą, gwałtowną, ciekawą... Grała wprawdzie z równem przejęciem rolę wielkiej damy, ale dla

niej cały świat nie zamykał się w kole tak zwanego „świata“. Była kiedyś w mężu zakochana, — co nie zdarzyło się księżnej Kari. Między hrabią i hrabiną Thunen odbywały się gwałtowne sceny zazdrości, — nieusprawiedliwione z jego, uzasadnione z jej strony, a teraz stosunek ich małżeński był prawie zerwany. Zalotność doprowadzała Izi do ostatecznych granic; lubiła igrać z płomieniami; lubiła nawet niekiedy trochę, troszeczkę tylko, się poparzyć. Gdy Kari nie pozwalała się niczem wyprowadzić ze swego wyniosłego spokoju, Izi gotowa była zawsze do wybuchów smutku i radości; umiała być wesoła, jak dziecko, i rozmarzona, mogła się śmiać do rozpuku i gorzko płakać. Pragnęła, aby życie jej dostarczyło materyału do kilku rozdziałów romansu, gdy Kari zadawalała się tem, że istnienie jej zawarte było w jednym rozdziale kalendarza gotajskiego.

Hrabina Izabela weszła do salonu.

— Ach, to ty, Izi? — rzekła księżna, podnosząc wzrok.

— To rzecz niesłychana, szkaradna, to nikczemność...

Kari zamknęła tekę.

— Co się stało?

— Hans Wetterstein się zaręczył.

— A! z kim?

— Z wnuczką Simmersburg'owej.

— Z tą małą, którą zauważyłyśmy wtedy w Operze? Świetna partya dla panny... Ale i ona pochodzi z dobrej rodziny i ładna jest bardzo. Będzie to duży

zawód dla Lori Harrig, która już od niepamiętnych czasów kokietuje Wettersteina.

— Kari, doprowadzasz mnie do rozpaczy...

— Ach, prawda! o mało co nie zapomniałam: zawód to i dla ciebie. Biedna Izi, jeden wielbiciel mniej... Ale cóż to szkodzi, za jednego straconego można znaleźć dziesięciu nowych... wielbiciele, to rasa pospolita!

Izabela stanęła naprzeciw siostry, położyła ręce na biurku i, pochylając się naprzód, — rzekła:

— Ale ja go kocham.

Kari roześmiała się.

— Romantyczne frazesy! Czyś ty oszalała? Stoisz przecież, jak bohaterka w dramacie mieszczańskim...

— Ależ Kari, czyż ty nic nie rozumiesz?—spytała Izi, porzucając pozę „z dramatu mieszczańskiego“ i padając na fotel.

Kari wstała z przed biurka i zajęła zwykłe swoje miejsce, na kozetce. Ze stojącego obok, wybitego jedwabiem kosza, wyjęła haft, — złotem przerabianą serwetę na ołtarz, — i z całym spokojem zabrała się do roboty.

— Czy nie rozumiem? Owszem, — odparła. — Mogłam z całą swobodą obserwować przebieg całej tej przygody. Jakkolwiek dzisiaj dopiero zaszczycasz mnie zaufaniem, spostrzegłam już dawno, że jesteś w pięknym Hansie zadurzona. Zalecał się też do ciebie porządnie. A ty kokietowałaś go należycie, ale dałaś mu odprawę; odszedł tedy i po drodze znalazł sobie narzeczoną. Nic go z tobą nie wiąże...

Albo czyżbym się miała mylić?... Czyżbyś popełniła jakie olbrzymie głupstwo? Byłażbyś może nietylko bohaterką niemieckiego dramatu mieszczańskiego, ale i drastycznego dramatu francuskiego? Czyżeś?..

Księżna urwała zdanie; podniosła tylko wzrok od haftu i skierowała go na siostrę, gdy ręka jej nie dokończyła ściegu.

— Nie, — odpowiedziała Izi na niewymówione pytanie, — nie... Ale może byłabym... chociaż nie, nie byłabym. On jednak powinien był mieć nadzieję... usiłować... On mnie nigdy nie kochał!

— Brakło tylko jeszcze tego frazesu! — rzekła księżna, haftując znów spokojnie.

— On nie ma serca!—ciągnęła dalej hrabina swoje oskarżenie.

— Proszę cię, przestań, stajesz się doprawdy śmieszną. Dobrze jeszcze, że się tak skończyło, inaczej byłabyś zrobiła jakie kapitalne głupstwo. Zresztą, strzeż się; on się ożeni z tą małą, pobawi się z nią przez jakiś czas w miodowe miesiące, a potem powróci do twoich stóp...

— Aby zostać stanowczo odepchniętym... pogardzam nim, nienawidzę go. Chciałabym, żeby jego wybrana była najgłupszą gąską na świecie!

— Boże mój, szesnastoletnią gąskę urabia sobie mąż na co zechce: na gołębia, albo na łabędzia. Izi, pomówmy o rzeczach poważniejszych. Karuzel się zbliża, a tyś dotąd nic jeszcze nie postanowiła, co do kostyumu...

— Nie wezmę w nim udziału. Wiesz przecież, że ten szkaradny człowiek miał być moim rycerzem.

— A więc tem lepiej! Nie możesz mu przecie okazywać gniewu, postępuj tak, jakgdyby wiadomość o jego zaręczynach była dla ciebie nowiną radosną.

— Nie, nie chcę nic wiedzieć o karuzelu, ani o balu jutrzejszym; dziś wieczór nie przyjdę nawet do ciebie na herbatę, bo on mógłby może...

— W takim razie idź lepiej zaraz do klasztoru!

— Dlaczego nie! Mogłabym zrobić jeszcze co innego: pojechać prosto do Karola i pogodzić się z nim.

— Na szczęście nikt nie wie, że jesteście poróżnieni, a zatem krok ten nie wywarłby odpowiedniego wrażenia i chybiłby celu. Wierzaj mi Izi, nie pozwalaj się wyprowadzać z równowagi, nie rób żadnych skandalów, to wszystko jest tak mało *comme il faut.* Jesteśmy to przedewszystkiem winne naszemu stanowisku, żeby zawsze ukazywać się z jednakowym spokojnym uśmiechem; rozwichrzone z rozpaczy włosy nie pasują pod dyadem.

— Zazdroszczę ci tej rybiej krwi, tego kamiennego serca... Pozwalasz spokojnie oszukiwać się przez męża, nie wzruszy cię żadne błaganie twoich wielbicieli...

— Nie dopuszczam wcale do błagania. Moi wielbiciele, jeśli już tak chcesz nazywać moich stałych gości, trzymani są w takiem oddaleniu, że nie odważyliby się nawet zanieść proźby, którąbym musiała odrzucić.

— Czyżbyś musiała?...

— Naturalnie, że musiałabym... bobym chciała. Ja, ja miałabym przyznać komu władzę nad sobą? Za nic w świecie.

Lokaj zameldował księcia Emila.

Na skinienie głowy księżnej gość został wpuszczony.

Książe zbliżył się do obu pań i ucałował podaną rękę każdej.

Gospodyni domu wskazała mu fotel.

— Jakież pan nam przynosi nowiny? — spytała.

Emil usiadł.

— Nowiny? Z jakiego gatunku? Czy o tem, co się dzieje w świecie wogóle, czy w naszym świecie w szczególności?

— Jak pan chce.

— Zacznijmy zatem od sfer bliższych. Wczorajsza tańcująca herbata w ministeryum spraw zagranicznych nie udała się i żałuję, żem się tam zabłąkał.

— Czegóż brakło temu zebraniu? Słyszałam przeciwnie, że się zupełnie powiodło.

— Czego mu brakło?

— Zatrzymaj się pan—przerwała Izi. — Nie mów pan tylko, na miłość boską, że naszej obecności; byłby to doprawdy nadto czczy komplement!

— Właśnie to chciałam powiedzieć, hrabino, nie przeczę. Pozwólcie panie zatem, że powrócę do moich nowin. Hans Wetterstein prosił mnie na świadka.

— Pojedynek! — zawołała Izi, przerażona.

— Tę samą obawę miałem i ja, gdy mi wyraził swoje życzenie, ale...

— Ach, tak, rozumiem: na świadka ślubu.

— Panie już wiedzą? Nie mam szczęścia z memi nowinami.

— Teraz kolej na księcia, teraz książę powinien sobie wybrać narzeczoną,—zauważyła Kari.

— W moim wieku, księżno? Gdybym się ożenił, wyświadczyłbym zbyt wielką przysługę tym wszystkim młodzieńcom, których powołaniem jest pocieszać nieszczęśliwe mężatki.

Niebawem przybyli i inni goście,—salon Kari zapełniali stopniowo damy i panowie, starsze panie i młode dziewczęta, wojskowi i cywilni; w końcu zebrało się dokoła księżnej dwanaście do czternastu osób. Naturalnie wszystkie ze sfery wyższych dziesięciu tysięcy.

W Wiedniu, zresztą, cyfra ta nie jest odpowiednią dla określenia arystokracyi; tam chodzi conajwyżej o pięćset.

Jest to pewne małe kółko, które bywa zapraszane na bale dworskie i trzyma się zawsze razem, gdy podczas jakiejkolwiek zabawy, jak naprzykład na piknikach lub balach publicznych, wypadnie mu się zetknąć z żywiołami pospolitszemi. Odłączenie następuje wówczas niezwłocznie. Damy, ozdobione gwiazdami i krzyżami zakonów, grupują się razem i lekceważąco spoglądają na tłum przez lornetki; hrabianki, uniesione wybuchem przyjaźni i potrzebą zwierzeń, spacerują pod rękę po sali i kotyliony mają wolne tylko dla zwykłych tancerzy. Do wieczerzy

zajmowane są z góry całe rogi stołów, niedostępne dla żadnego obcego intruza; za jego zbliżeniem się, uśmiechnięte oblicza przyoblekają się w powagę i zdziwienie, ożywiona gawęda ustaje, a lodowaty powiew, tchnący od tej nagłej ciszy, wystarczy, by zabłąkanego zapędzić do równych jemu.

Oczywiście, psuje to zabawę tym ostatnim, ale owym pięciuset wydaje się, że to upokorzenie reszty wzniosło ich na jeszcze wyższy piedestał. Uważają się oni wogóle za posiadaczy monopolu na rozrywki towarzyskie. Ich kółko nazywa się dla nich i jest im „światem“! I w istocie wszędzie, gdziekolwiek ten świat się zbiera, hołduje zabawie; tańczy, poluje, romansuje, stroi się, uprawia zbytek i sport, i uważa taki tryb nie za wypoczynek w życiu, lecz za jego cel i zadanie. Im więcej się kto „bawi“, nabywa prawo do tem większego poważania, tem chwalebniej spełnia swoje powołanie.

I tutaj, w salonie dziennych przyjęć księżnej Kari, jakkolwiek niema tańców ani biesiady, lecz odbywa się tylko ceremonialna, nudna pańszczyzna wizyt etykietalnych, z łatwością można było dostrzedz i słyszeć, że „zabawa“ jest owym bożkiem, któremu zgromadzeni hołdują.

Widocznem to było z wesołych twarzy obecnych i świetnych akcesoryi: świeżych tualet, nacechowanych szczególnem piętnem, wykazującem pierwszorzędne modniarki; z bukietów, otwartych bonbonierek, z których smukłe, jaśniejące pierścionkami paluszki, czerpały cukierki; z biletów na koncert, leżących na stole obok karty zapraszającej na obiad

dworski; z afiszu teatralnego, — dzisiaj jest bowiem dzień abonamentu gospodyni domu w Burgu, — który zapowiada na wieczór „Arrię i Messalinę“; z oprawnej w bronz wazy japońskiej, w której piętrzą się karty wizytowe z nazwiskami, jak: „*Le prince de Rohan*“; „*L'ambassadeur d'Espagne*“; „*Le duc de Würtemberg*“; z wizerunków strojów kostyumowych, oglądanych z okazyi narady nad karuzelem; z otwartej partytury najnowszej operetki Suppé'go na pulpicie fortepianu;—w tem wszystkiem uwidoczniało się wyraźnie panowanie wspomnianego bożka zabawy, a równie wyraźnie dosłuchać się można było jego wszechwładztwa w treści krzyżujących się rozmów. Na wzajemnie wymieniane pytania: Jakie są pańskie projekty na lato? odpowiedzi brzmiały: kuracya w Karlsbadzie, wycieczka na sezon do Londynu, podróż do Szwajcaryi, sześć tygodni w Scheveningen, wyścigi w Baden-Baden, polowanie w Szkocyi i w końcu miękko brzmiące: „A potem do siebie, na wieś“. Od trzech siedzących przy sobie hrabianek dobiegają chychotania i szepty o „trzydziestu bukietach kotylionowych“, „strasznie interesującym człowieku“; „miłości na śmierć i życie“; „białym tarlatanie ze świeżemi różami“. Młode mężatki mówią o karuzelu, panowie o wygranych swoich koni wyścigowych i zajmującym debiucie w teatrze „*An der Wien*“.

Pomiędzy gośćmi znalazł sią i Hans Wetterstein. Gdy wszedł, hrabina Izi wymknęła się przez drzwi, wiodące na taras, nie tak szybko wszakże, by jej książę nie zauważył. Zamieniwszy kilka zdań

z gospodynią domu, wyszedł i on otwartemi oszklonemi drzwiami.

Izi leżała w bujaczu i twarz miała ukrytą w dłoniach.

Hans zbliżył się pocichu.

— Hrabino!

Młoda kobieta zerwała się, przestraszona.

— Dzieńdobry, książe, — rzekła zimno. Czy przychodzisz pan może po moje powinszowanie? — Usta jej drgały, była bardzo blada.

— Ponieważ królowa mego serca jest niezdobyta...—zaczął Hans.

— Milcz pan! — rozkazała Izi gwałtownie. — Ani się pan odważ przemawiać do mnie takiemi frazesami!

— Nie miałem żadnej nadziei, hrabino...

Zatopiła palące spojrzenie w jego oczach i szepnęła:

— Szaleńcze!

Ogarnął go zawrót głowy, — słowo to mówiło wyraźnie: Powinieneś był mieć nadzieję i nie byłbyś jej miał napróżno.

— Izi, czy mam się cofnąć? Powiedz pani tylko jedno słowo...

Teraz ona doznała zawrotu głowu. Gdyby to słowo wymówiła, układ zostałby zawarty, a tego się bała.

— Nie, nie, to nie w tej myśli było powiedziane... Książe zupełnie fałszywie mnie rozumie.

Wstała i powróciła do salonu.

———————

IV.

Gertruda przebywała już teraz całą istotą w zaczarowanej krainie.

Owego pierwszego maja, ze świetną przejażdżką po Praterze i oszałamiającym wieczorem w Operze, wprowadzona została do tej krainy i od owej pory mnożyły się ciągle cuda i czarodziejskie zmiany losu.

Gdy obudziła się rano drugiego maja, uczuła ciepło jakieś, jakby napływ tkliwości, wzbierającej w jej sercu. Kogo to ja tak kocham? —zapytała siebie w pierwszej chwili i przywołała przed oczy obraz babki. Ale wnet przekształciły się linie czcigodnej postaci,—białe włosy stały się ciemne i kędzierzawe, twarz przemieniła się na młodą i zdobną w wąsy, powłóczysta suknia na mundur dragona—i teraz Gertruda wiedziała już kogo tak „okropnie“ kocha. A więc to jest owo słynne uczucie, o którem czytała i śniła, które miało być koroną jej przyszłości. Jakież rozkoszne! a takie wyraźne, pochwytne niemal! Dość było, by oczy zamknęła i przywołała wiadomy obraz, a niebawem słyszała i głos jego, odczuwała też wymowny uścisk dłoni, jakim ją wczoraj w loży powitał i serce jej zalewała znów fala gorąca a słodka...

Pierwsza miłość! Wiosenne zwycięztwo życia,— iskro z ogniska boskości, że się też nie dasz zatrzymać! Siejąc wonią i czarem mkniesz obok młodej duszy, napełniasz ją rozkoszą wiosenną i niebiańskim blaskiem i znikasz bezpowrotnie, bez śladu,—zapomniana. Starość przypomina sobie wprawdzie fakt, ale nie pamięta jego istoty; zupełnie tak samo jak można sobie przypomnieć, że się słyszało melodyę, nie będąc przytem w stanie samej melodyi wywołać w pamięci. Wiemy, żeśmy kiedyś pierwszy raz byli zakochani, ale cośmy przytem odczuwali, już nie pamiętamy. Przecudna melodya przebrzmiała, a nieudolna pamięć nazywa ją może niedorzecznym hałasem. Szaleństwo, przesada, grzech, —oto nazwy, jakie chłodna trzeźwość wynalazła dla określenia minionego czaru i jakiemi zgryźliwy, drżący z zimna człowiek listopadowy usiłuje zamącić wesołe, płomienne, nazbyt krótkie święto miłości człowieka majowego.

Drugi maja wypadał w niedzielę. Hrabina Simmersburg pojechała z wnuczką na mszę do kościoła Ś-go Michała. Gdy wraz z innymi opuszczały kościół po ukończonem nabożeństwie, musiały przejść między szeregiem młodzieży, która zwykła ustawiać się przed wrotami kościelnemi i wzdłuż chodnika. Serduszko Gertrudy zabiło, albowiem pośród licznych oficerów poznała natychmiast postać Wetterstein'a. Ukłonił się, podszedł nawet do powozu, gdy panie wsiadły, zapytał starej hrabiny o jej zdrowie, rzucił inteligentną i trafną uwagę: „Śliczna pogoda!“ i pożegnał się. Spojrzenie jego spoczywało nieustannie na zarumie-

nionej, to znów pobladłej twarzyczce Gertrudy, która uśmiechała się do niego, uszczęśliwiona.

— Czemu nie powiedziałaś ani słowa do Wetterstein'a? Musisz być uprzejmą... miłą i chłodną zarazem. Od tego uśmiechania się i gapienia trzeba się odzwyczaić; rozmawiaj, ale zachowaj minę obojętną.

Droga z kościoła do mieszkania Simmersburg'owej była krótka, ztąd też hrabina uważała za stosowne kazanie swoje dokończyć w domu.

— Idź do swego pokoju, zdejm kapelusz, Trudi, i wróć do salonu; chcę pomówić z tobą.

Gdy Gertruda spełniła rozkaz, hrabina zaczęła w te słowa.

— Usiądź, moje dziecko... Nie na tej poduszce... siadaj porządnie na krześle i posłuchaj mnie. Żyłaś dotychczas w instytucie i nie znasz wcale świata...

— O, babciu, — przerwała Gertruda, — bywałam przecież corok na urlopie w domu i teraz już rok minął, jak wyszłam z instytutu!

— To wszystko jedno. Dom twoich rodziców w małem miasteczku prowincyonalnem, nie był światem, tak samo jak dom twojej ciotki na wsi, gdzie przebywałaś, zostawszy sierotą; nie zaprzeczaj mi zatem (zaprzeczać, gdy babka mówi, wogóle nie przystoi takiej małej gąsce), bo musisz przyznać, że nie znasz świata wcale. Nadto jesteś jeszcze tak młodą, dzieckiem właściwie, że nie masz najmniejszego doświadczenia. Musisz ze wszystkiem zdać się na mnie

i słuchać moich przestróg. A ja znajduję wiele powodów do strofowania cię, Trudi. Najpierw zauważyłam, że byłaś w kościele roztargniona i nie modliłaś się z tem skupieniem, jakie przystoi dobrze wychowanej pannie. A może nie jesteś pobożną?

— O babciu!

— No, mam nadzieję, że serce twoje w gruncie niezepsute i bogobojne... ale musisz to okazywać. Religijność, to najpiękniejsza ozdoba młodej dziewczyny i wogóle rzecz najlepsza i najwznioślejsza, jaka istnieje. Bądź tylko zawsze pobożną a błogosławieństwo nieba towarzyszyć ci będzie przez całe życie.

— Tak, babciu. (Do czego babcia zmierza tem kazaniem?)

— Nie byłabym przeciwną twemu wstąpieniu do klasztoru, ponieważ jednak zostałaś wychowana w instytucie świeckim, nie zaś, jak radziłam twoim rodzicom, u Urszulanek, przeto święte powołanie nie zostało w tobie zbudzone. Musisz zatem spełnić inne powołanie, moje dziecko: musisz wyjść zamąż.

Słowa te nie wywarły na Gertrudzie przykrego wrażenia. Ujrzała siebie w welonie ślubnym przed ołtarzem, a obok—dragona.

— Dobrze, babciu.

— Ale wyjść zamąż, to rzecz bardzo poważna, Trudi. Od partyi, jaką panna zrobi, zależy jej stanowisko w świecie, jej cała przyszłość.

— Tak, babciu, ja wiem, trzeba męża kochać... miłość...

— Naturalnie, porządna kobieta powinna kochać męża,—przerwała hrabina,—ale nie nabijaj sobie z tego powodu głowy przesadnemi frazesami z romansów i poezyi; dziwi mnie wogóle, że wyraz „miłość“ wymawiasz z taką emfazą... dowodzi to, że w tym waszym marnym instytucie wpojono w was waryackie zasady. Gdy ja wyszłam z klasztoru, mając lat osiemnaście, wiedziałam tylko o miłości Boga i bliźniego. Ale skoro ty jesteś już tak daleko zaawansowana, przyznaję ci, że miłość w małżeństwie jest rzeczą nader chwalebną i życzę ci męża, któregobyś mogła kochać całem sercem. Ale, na miłość Boską, nie wymawiaj już tego wyrazu tak sentymentalnie i myśl o tem jaknajmniej. Młodej pannie nie przystoi wcale wpadać w egzaltowane uniesienia; to wprost nieprzyzwoicie; ośmiesza się tylko przez to i wykazuje skłonność do zepsucia. Panna z dobrego domu nie powinna się zakochać; pamiętaj o tem. Musi czekać, dopóki się kto w niej nie zakocha, a jeśli ten ktoś jest dobrą partyą, w takim razie może mu się odwzajemnić i szaleć później za mężem, ile zechce. Ale widzisz, Gertrudo, chcąc, by ktoś zapragnął ożenić się z tobą, musisz przyswoić sobie obejście bez zarzutu: skromne, miłe, wesołe, ujmujące. Nie jesteś brzydką; zdaje mi się nawet, że będziesz między naszemi hrabiankami jedną z najładniejszych, tylko w twojem zachowaniu się, w całem postępowaniu, jesteś... jakże mam powiedzieć... wcale nie znać w tobie hrabianki. Ale to wszystko przyjdzie, jeżeli tylko weźmiesz sobie należycie do serca moje przestrogi Przedewszystkiem musisz się odzwyczaić od tej śmia-

łości względem panów. Czy ty myślisz, że nie zauważyłam wczoraj, jak spoglądałaś na Wetterstein'a? Aha, rumienisz się teraz! A dzisiaj po kościele, uśmiechałaś się także do niego tak wyzywająco... Zepsułabyś sobie całą przyszłość, gdybyś zaczęła kokietować panów, którzy nie mogą być partyą dla ciebie.

— A dla czego książe Wetterstein nie mógłby być partyą dla mnie?—spytała Gertruda nieśmiało.

— Bo on wogóle nie myśli o żeniaczce; ma stosunek z... — hrabina odkaszlnęła: wymknęło jej się nagle słowo, nieodpowiednie dla siedmnastoletnich uszu, — chciałam powiedzieć dlatego, że ma inne pasye: konie, podróże i t. p. Nadto jest to wogóle najlepsza partya w Austryi-Węgrzech; może wybierać między najpierwszemi księżniczkami, nie weźmie zatem takiej wiejskiej gąski, jak ty! Nie zaprzątaj sobie głowy takiemi szaleństwami! Niewolno ci wdawać się w kokietowanie hołyszów, ale niepowinnaś też sięgać marzeniami do najświetniejszych epuzerów; zarówno jednem, jak i drugiem mogłabyś odstraszyć tych, którzyby byli dla ciebie odpowiedni.

— A kto byłby dla mnie odpowiedni, babciu?

— Już się taki znajdzie, skoro tylko zostaniesz raz w świat wprowadzona... Jaki młody hrabia, albo baron z ładnym majątkiem ziemskim, ale nie zaraz książe z milionem renty.

— Milion... Wetterstein ma milion renty?— zawołała Gertruda olśniona. Ta olbrzymia cyfra przyniosła jej widzenie pałaców marmurowych, błyszczących klejnotów, cudów z tysiąca i jednej no-

cy, które stanowiły przepyszne tło dla postaci ukochanego zaklętego księcia.

— Mniej więcej. Ale niepotrzeba aż tak wielkiego majątku, żeby żyć przyzwoicie. Nie jestem wprawdzie wcale zdania, że „chatka w lesie byle z nim" powinna wystarczyć, ale chciwość jest brzydką wadą. Trzeba umieć zastosować się do skromnych warunków. Mając dwadzieścia do trzydziestu tysięcy guldenów dochodu, można się utrzymać. Są ludzie, którzy mają mniej i żyją jednak wcale nieźle. Ja sama nie pobieram więcej, niż osiemnaście tysięcy rocznie; coprawda jest to pensya wdowia i stara kobieta ma mniejsze potrzeby. Młode małżeństwo, które może mieć dużo dzieci, potrzebuje więcej. Nie wydam cię za człowieka, któryby miał mniej, niż trzydzieści tysięcy rocznie; szczęście twoje jest mi bardzo drogie i będą nad niem czuwała macierzyńskiem sercem.

Na tem kazanie zostało przerwane, — do pokoju weszła dama w podeszłym wieku, hrabina Sydovetz najlepsza przyjaciółka hrabiny Simmersburg.

Gospodyni domu z radością witała przybyłą.

— Ach, jak to dobrze, żeś przyszła Lori, jużem cię nie widziała całe wieki!

Podczas tego powitania Gertruda wymknęła się niepostrzeżenie i pobiegła do swego pokoju.

— Siadaj, Lori... Trudi, chodź, niechże cię przedstawię... a to co? gdzież ona się podziała?

— Widziałam tylko co niebieską suknię, znikającą za portyerą; była to prawdopodobnie twoja wnuczka.

— Uciekła od nas? Mniejsza o to, przedstawię ci ją innym razem. Ładna dziewczyna, zobaczysz; ale jeszcze zupełnie nieokrzesana, bez żadnych manier. Cóż u ciebie słychać?

— Zawsze to samo. A u ciebie?

— Również! Co zresztą nowego?

— Prawie nic; uważam, że życie staje się z każdym dniem nudniejsze.

— I mnie się tak wydaje. Wesołość, jakby znikła z tego świata. Gdy cofnę się myślą w młode lata, tak do trzeciego, czwartego dziesiątka naszego wieku, jakże to wszystko było inaczej, jak się to bawiono! *Sans gêne*, a jednak zawsze ściśle między sobą! teraz towarzystwo staje się okropnie mieszane: w najpierwszych domach można teraz spotykać ludzi, z którymi, za moich czasów, nie zamieniłoby się jednego słowa... malarzy, aktorów, literatów, żydów... czy ja już wiem kogo!

— Że ich się spotyka, to jeszcze najmniejsza; najgorszem jest to, że nasi usiłują ich naśladować; że w naszych sferach spekulują, jak pośród giełdowiczów i deklamują, jak między komedyantami; że uprawiają literaturę, zajmują się nauką; ztąd też wszystkie rozmowy stały się pretensyonalne i nudne; nikt już nie śmieje się, nie tańczy, nie kokietuje niewinnie, jak za naszych czasów. Gdy pomyślę o wieczorach poniedziałkowych u Wetterstein'ów, o balach u Thunen'ów, o łowach u moich rodziców na Morawach... Ach, nie mówmy o przeszłości; smutno się robi na myśl, że te piękne czasy minęły bezpowrotnie. Jak długo zostaniesz jeszcze w mieście?

— Do połowy czerwca. Ale tym razem nie pojadę zaraz do siebie na wieś, tylko do Karlsbadu.

— Na kuracyę?

— Nie, dla mojej wnuczki; kto wie, może znajdzie się tam dla niej partya. Krzyż to prawdziwy dzisiaj szukać partyi, bo młodzież siedzi u aktorek, albo u cyrkówek.

— Tak, tak... wyobraź sobie, słyszałam przecież, że Rudi chce naprawdę ożenić się z Gallinger'ówną z teatru „*An der Wien.*“

— Niesłychane! Istna choroba te małżeństwa z aktorkami! Nasze hrabianki będą chyba w końcu musiały wstępować do teatru, żeby zrobić dobrą partyę. W tych dniach mówiła mi już i tak Tini Niederhof, wiesz ta z Rotteck'ów, że jej córka ma przepyszny głos altowy i że chce ją posłać do Marchesi, bo nie można wiedzieć... Ale spojrzałam na nią piorunującym wzrokiem, i nie dokończyła zdania. To także wynika z tego uprawiania sztuki i z całego fałszywego kierunku dzisiejszego wychowania dziewcząt. Z wyjątkiem kilku najpierwszych naszych rodów, które wychowują jeszcze stale swoje córki w klasztorze, w innych domach dzieją się rzeczy niesłychane. Zamiast haftu, modlitwy i tańca, panny uczą się teraz śpiewu, jazdy konnej i Bóg wie czego... A ty, jak długo zamierzasz zostać w Wiedniu?

— Nic jeszcze nie wiem. W każdym razie pozostanę tutaj do wesela siostrzenicy. Ta robi karyerę, co? Przez dwanaście lat tańczyła daremnie na wszystkich piknikach (ma już dziś trzydziestkę)

i w końcu dostała jeszcze ordynata. A co za miły człowiek!

— Ale cóż Tini na to?

— O, to stosunek już dawno zerwany. Mówią, że ona ma teraz romans ze szwagrem.

— I ja to słyszałem. *A propos* szwagra, chciałabym też wiedzieć, czy Hohenberg nie zaleca się do Izi Thunen? Kari byłoby to zupełnie obojętne, bo jej wszystko obojętne.

— Oprócz kulawego księcia.

— Tak sądzisz? Nie zdaje mi się; ta kobieta nie jest zdolna do żadnej namiętności.

— Słyszałaś już, że Helldorf, wiesz, ten wdowiec, żeni się z guwernatką swoich dzieci, jakąś, panną Schmidt?

— W takim razie będzie musiał zamieszkać w swoich dobrach, bo tutaj niktby przecież nie przyjął tej nowej hrabiny.

— A jeśli poskłada z nią wizyty?

— To mu ich poprostu nikt nie odda. Niedawno przedstawiono mi taką świeżo upieczoną hrabinę, córkę jakiegoś profesora pruskiego, czy coś podobnego. Straktowałam ją tak zimno, że mi jej później było prawie żal; widziałam, jak spojrzała na męża i miała łzy w oczach. Tak mnie to wzruszyło, wiesz przecież, jakie mam czułe serce, że już wzięła mnie ochota powiedzieć jej jakie uprzejme słowo i zaprosić ją; ale powstrzymałam się w porę. Winniśmy to przedewszystkiem społeczeństwu, żeby utrzymać należyte granice; niestety, już i tak bywają one zbyt często przekraczane!

— Czy widziałaś już tego obcego księcia, który tu podobno robi taką furorę, i którego nazwano „książę Dyament?“

— Ach, tego Mongoła czy Tatara? Pochodzi podobno z Azyi czy też z Abchazyi, Bóg wie zkąd. Naturalnie, że go widziałam, nie dalej jak wczoraj wieczór, w loży Hohenberg'ów. Muszę ci wyznać szczerze, że nie mam zaufania do tych cudzoziemskich postaci... są to w większej części *chevaliers d'industrie.*

— O, książę Dyament ma być prawdziwym arystokratą!

— Być może, ale w gruncie jaką wartość ma ta arystokracya cudzoziemska? Na Wschodzie wszyscy są książętami, podobnie jak we Włoszech są „*principe*“ i „*conte*“, ale oprócz kilku istotnie dobrych rodzin, to wszystko niema żadnego znaczenia. Ja mogę rzeczywiście uznać tylko naszą własną arystokracyę; ci cudzoziemscy książęta i hrabiowie, jeśli nie są awanturnikami, to w większej części zachowują się awanturniczo, takie mają dziwaczne pomysły i maniery! To wszystko denerwuje mnie strasznie. Nie mogłabym też nigdy zdecydować się na te modne teraz podróże zagranicę, na spędzanie całego lata w kąpielach niemieckich albo francuskich, całej zimy w Nizzy lub we Florencyi. Pojmuję jeszcze, że się podróżuje dla poznania obcych okolic, ale tego brania udziału w życiu towarzyskiem cudzoziemców, wprost pojąć nie mogę. Mnie byłoby tak między nimi, jak rybie na piasku. I stopniowo, w miarę jak ta podróżomania się wzmaga, nasze towarzystwo ulega

korrupcyi. Zkąd się biorą te wszystkie idee demokratyczne, jeśli nie z zagranicy? W Szwajcaryi młode dziewczęta studyują medycynę, Włosi składają hołd takiemu Garibaldi'emu, we Francyi niema dworu, Niemcy i Anglia są protestanckie, a izba paryska ateistyczną. Czy to co dziwnego, że człowiek truje się, gdy między nich wpadnie? Nie, nie... zima w Wiedniu lub Pradze, lato we własnych dobrach lub u wód czeskich, to jest prawidłowy tryb życia.

— Podzielam zupełnie twoje zdanie. I ja spędziłam raz kilka miesięcy w podróży i było mi okropnie nieprzyjemnie stykać się z ludźmi, o których nie widziałam, kim są; bo taki obcy człowiek, chociaż „*lord*“, „*monsieur le comte*“, „*signor marchese*“, nic przecież nie mówi; jego nazwisko, to szereg pustych liter, gdy tymczasem u nas, jak powiedzą: to Lichtenstein, Chotek, Batthyany, człowiek zaraz wie, czego się trzymać. Jest także zrozumiany, gdy powie o sobie: „Jestem ta a ta—moja siostra poślubiła tego a tego“; gdy zaś powie się coś podobnego tym głupim cudzoziemcom, to tak dobrze, jakgdyby się nic nie powiedziało.

— Tak, może to uczucie grzeszne, ale nie mogę mu się obronić: dla mnie istnieje między cudzoziemcami a mną taki rozdział, taka różnica, jak między Murzynami a białymi.

— Niepotrzebnie sięgasz aż tak daleko: nietylko cudzoziemcy, ale wszyscy, którzy nie należą do naszego świata, są dla nas mniej lub więcej czarnoskórymi; bo czyż subjekt sklepowy lub ktoś w tym rodzaju jest ci o wiele bliższy, od Murzyna?

Gdy obie panie tak filozofowały, Gertruda siedziała u siebie w pokoju i płakała. Dlaczego? Sama nie umiałaby pewnie powiedzieć. Takie bezzasadne łzy dziewczęce, to niby ulewa majowa, po której rozwijają się tem czarowniejsze kwiaty w orzeźwionej duszy.

Płakała, bo go kocha, bo babcia powiedziała, że on jest dla niej niedościgłym; płakała, bo zostać wybraną przez niego byłoby boskiem szczęściem, a to szczęście może nie jest jej przeznaczone. A może jednak... Nie, niepodobna! Są rzeczy, które uszczęśliwiłyby tak bezgranicznie, że człowiek, w poczuciu swej ziemskiej nicości, musi sobie przyznać, iż dziać się powinny tylko w niebie. Niepodobnaby ich wcale pojąć.

Popołudniu powtórzyła się przejażdżka po Praterze. Tym razem Gertruda w całym tłumie widziała tylko — jego. Jechał konno. Jak on na nią spoglądał... nie, nie, to byłoby zbyt piękne... to niemożliwe!

Przez dni następne nie widziała go wcale. Nie kochał jej, to było tylko złudzenie... I znów kilka dni łez — gorzkich, jak piołun, poczem zrezygnowała.

W tydzień później hrabina Simmersburg kazała wezwać do siebie wnuczkę. „Kazanie“, pomyślała Gertruda. Nie bez obawy weszła do pokoju babki, albowiem nie lubiła kazań. Myślała już nieraz, że największa korzyść, jaką jej kiedyś przyniesie małżeństwo, będzie polegała na tem, iż nie usłyszy już frazesu: „To dla panny nie wypada.“

Gdy Gertruda weszła, babka zbliżyła się do nie i ucałowała ją. W tym sposobie powitania było coś

tak uroczystego, taki jakiś szacunek niemal, że młoda dziewczyna przelękła się. Co się stało?

— Gertrudo,—zaczęła hrabina,—siadaj.

I to nazwanie jej było osobliwe; zazwyczaj mówiła babka „Trudi.“

— Posłuchaj mnie, Gertrudo, poważnie i spokojnie. Nie jesteś już dzieckiem. Mam ci coś ważnego do powiedzenia. Panuj nad sobą. Oświadczono mi się o twoją rękę.

Słowa te ugodziły w słuchaczkę, jak uderzenie prądu elektrycznego.

— Kto, babciu?

— Dałam moje zezwolenie bez wahania, a dzisiaj wieczorem (zaprosiłam go na herbatę) przyjdzie po twoją odpowiedź.

— Ale, babciu, kto? Jak mi się nie spodoba, to przecież będę mogła powiedzieć „nie?“

— Niema o to obawy, Trudi, takiemu konkurentowi żadna panna nie daje odmownej odpowiedzi. Na kolanach powinnabyś dziękować Bogu za to nieopisane szczęście.

Przed oczyma duszy Gertrudy stanęło widzenie, ale odegnała je coprędzej, wszak wyrzekła się już wszelkiej nadziei...

— Kto to, babciu? Nie dręcz mnie dłużej!

— Hans Wetterstein.

Gertruda wydała okrzyk i rzuciła się babce na szyję.

V.

Niektóre radości lub niedole, gdy o nich pomyślimy, wydają nam się nie do zniesienia, skoro wszakże się urzeczywistnią, znosimy je o wiele łatwiej, niż byśmy przypuszczali i że znaczenie mniejszem odczuciem i zrozumieniem, niż, gdyśmy je sobie wyobrażali. Zwłaszcza w wypadkach wielkiego szczęścia następuje po pewnym czasie rodzaj zastoju myśli; człowiek przestaje rozważać istotą tego szczęścia, zagłębiać się w nie, pozwala mu się nieść w obłoki, na tej wysokości kładzie się, znużony nieco, na spoczynek, — i poddaje się losowi. Przebywa tam, niby na tronie, otoczonym przez różne hołdujące postaci: bogactwo, stanowisko, miłość, i przyjmuje nieco protekcyonalnie ich daninę, jako rzecz należną; zaledwie może stłumić lekkie ziewanie, wywołane nużącym zawsze mozołem przyjmowania.

To samo stało się z Gertrudą. Świadomość szczęścia, jaka na nią spadła, zamieniła się w rodzaj ogłuszenia, w odrętwienie zdolności odczuwania tego szczęścia. Los wybrał ją na największą, najbogatszą, najgodniejszą zazdrości panią w kraju, — poddawała się tedy temu dekretowi.

Młodzi wierzą tak chętnie, że istnieje przeznaczenie; przyszłość ciągnie się taka bezmiernie

długa, a młodzieniec czy dziewczyna sądzi, że wszystkie, mające zajść zdarzenia, są już uszykowane w pogotowiu, tworząc harmonijną całość. Dopiero gdy człowiek posunie się w latach i przekona się, jak dalece jest igraszką fal i wichrów na oceanie życia, wówczas dopiero widzi, że los jego nie upłynął według zarysów gotowego, prawidłowego planu.

Gertruda miała się za wybraną, — w dziecinnej pobożności nazywała przeznaczenie „Opatrznością“ — za wybraną przez Boga do świetnego losu księżnej Wetterstein i w gruncie serca przyznawała, że Opatrzność uczyniła trafny wybór. Któraż z tych siedemnastoletnich istot, które się żywią śmiałemi marzeniami i ambitnemi nadziejemi, których serca są przepełnione pragnieniem wszystkiego, co poetyczne, cnotliwe i wzniosłe, któraż z istot takich nie uzna własnego ja godnem wszelkich wawrzynów i każdej korony? Mówią zawsze, że starość jest samolubna, — nie, wstępującej w życie młodości możnaby raczej postawić zarzut,iż ma kult dla samej siebie; nietylko, że kocha swoje ja, ale widzi w niem niemal środowisko świata.

Gdy Gertruda po raz pierwszy, po usłyszeniu radosnej nowiny z ust babki, spojrzała w zwierciadło, własna postać wydała jej się otoczona olśniewającą aureolą. Widziała już na swawolnych loczkach nad czołem brylantowy dyadem książący, w dali powstawały przed jej wzrokiem zamki i pałace, których miała zostać panią; wszędzie spotykała pełne podziwu spojrzenia albo pochylone głowy, — a u stóp swoich miała ubóstwiającego i ubóstwianego czarnookiego

dragona. Młodzieńcza jej twarzyczka straciła dziecięcy wyraz wobec tych widziadeł, — usta ułożyły się poważnie, ogarnął ją nieokreślony niepokój. westchnęła głęboko, ze smutkiem niemal, — ciężko, bardzo ciężko będzie dźwigać tyle przepychu i tyle szczęścia!

Hrabina Simmersburg złożyła z wnuczką szereg wizyt. Według planu pierwotnego, wprowadzenie jest miało nastąpić dopiero jesienią; ale teraz, skoro została narzeczoną, należało ją w tym nowym charakterze przedstawić towarzystwu. Przyjmowano ją wszędzie z odznaczeniem, wydawano obiady i wieczory na cześć narzeczonych, — składano jej hołdy i schlebiano ze wszystkich stron. Inne „hrabianeczki", — zazdrosne w gruncie serca, — narzucały jej się ze swoję przyjaźnią; panowie starali się mniej lub więcej o jej względy, starsze panie obsypywały ją pieszczotami, słowem, Gertruda czuła, że jest przedmiotem powszechnej uwagi, ogólnego podziwu i powszechnej zazdrości.

Wesele oznaczono na późną jesień, lecz hrabina Simmersburg zabrała się zaraz do zamawiania wyprawy. Gertruda posiadała mały kapitalik po rodzicach, który, w razie niezbyt świetnej partyi, miał stanowić jej posag, a który teraz babka przeznaczyła całkowicie na zakup sukien, bielizny, koronek i t. d. W dniu zaręczyn Wetterstein przyniósł narzeczonej naszyjnik z pereł, wartości stu tysięcy guldenów; brylanty rodzinne miała Gertruda otrzymać dopiero po weselu.

Kupowanie i zamawiane wyprawy, długie posiedzenia w magazynach mód, szacunek tych, którzy zamówienia przyjmowali, ofiarowywanie tylko tego, co najcenniejsze i najdroższe, jakgdyby to jedynie było godnem przyszłej księżnej, — wszystko to miało także swój urok i Gertruda wznosiła się coraz wyżej na swoim tronie w obłoki i coraz bardziej ogarniało ją owo, wywołane nadmiernem szczęściem, znużenie.

Miłość jej dla narzeczonego była przesadna, entuzyastyczna, ale Gertruda czuła się szczęśliwszą, gdy był zdala od niej, niż gdy go miała przy sobie. Obejście jego było szczególnie zimne, suche, prawie przejmujące obawą. Traktował ją tak, jak się traktuje podrastającą kuzyneczkę: trochę z góry. Poetyczne aspiracye jej serca nie znajdowały w nim oddźwięku; zaczarowana kraina, która się teraz roztoczyła przed jej oczyma, w której wszystko promieniało blaskiem wiosny, miłości i dyamentów, nie była mu również, o ile się zdawało, swojską.

Książe był chłodny, roztargniony i taki rozpaczliwie spokojny. Gdy Gertrudzie bliskie małżeństwo wydawało się wypadkiem wszechświatowego znaczenia, on brał je tak, jak umówioną wycieczkę na wieś. Przyglądał się niekiedy narzeczonej z zadowoleniem, które wykazywało jasno, iż rad jest jej urodzie, — ale widział-li on, że ona ma serce, serce, gotowe całe skarby miłości przynieść mu w dani? W tych spojrzeniach, jakby oceniających jej piękność zapalała się niekiedy iskra, od której błysku Gertruda musiała spuszczać oczy, płonąc nawpół radosnym, napoły wstydliwym rumieńcem.

Zaufanie i poufałość nie istniały między tą parą narzeczonych, nie znali się wzajemnie i nie rozumieli. Gertruda była wprawdzie zakochaną, ale przedmiotem jej marzeń był nietyle Wetterstein sam, ile owa mglista postać, którą młode dziewczęta nazywają „swoim ideałem". Na tę modłę ideału urabiają tego, który je przyprawia o pierwsze bicie serca; nie jego właściwości kochają, ale właściwości owego ideału. Niekiedy kochającą dziewczynę ogarnia wątpliwość, czy ten istotny człowiek, którego obok siebie widzi, jest też identyczny z wymarzonym ideałem jej snów. Ale odpędza tę wątpliwość, — ideał wymarzony kochany jest w dalszym ciągu w zapożyczonej postaci, — aż do dnia, w którym różnica między nim a rzeczywistością zbyt jaskrawo wystąpi. Dzień ten wszakże nie przypada zazwyczaj już w czasie narzeczeństwa: Stan to dla młodej dziewczyny tak pełny ciekawości, lęku i niecierpliwej nadziei, że wyraźny i ostateczny sąd wcale wytworzyć się nie może.

Gdy Hans Wetterstein przytaczał swemu przyjacielowi, Emilowi, powody, które go skłoniły do zaręczyn, nie podał, tylko tego jednego, jaki tamten chciał uznać za okoliczność łagodzącą, — nie tłómaczył się szaloną miłością. I w istocie też powód ten nie istniał. Hans był zachwycony pięknością Gertrudy; w pierwszej chwili, gdy ją wówczas spostrzegł w Praterze, uderzony został nieopisanym wdziękiem jej postaci; w teatrze, — tego samego wieczora, — zachowanie się jej dowiodło mu, że i on wywarł na

niej wrażenie, a myśl poślubienia tej dziewczyny wpadła mu w duszę, jak błyskawica. Tak sobie mówi bogaty człowiek, który widzi na wystawie piękne malowidło: „Ten obraz chciałbym sobie kupić“. Każda myśl jest skierowana do czynu; skoro tylko między wyobrażeniem a wykonaniem niema przeszkody, skoro nie następuje potem wyobrażenie wprost przeciwne, myśl się urzeczywistnia, gdy działający zaledwie jeszcze zdoła się zastanowić. Bogacz ma w kieszeni pieniądze na kupno wystawionego na sprzedaż obrazu, który pragnie posiąść, — i w godzinę później obraz jest w posiadaniu bogacza. „Tę dziewczynę chciałbym mieć“, — pomyślał Wetterstein owego wieczora w Operze i w tydzień później była jego narzeczoną.

Przeszkód nie było żadnych. Wetterstein postanowił już od pewnego czasu ożenić się, albowiem pragnął objąć majorat, który, w dniu ślubu, stryj miał mu odstąpić. Ze wszystkich hrabianek, wystawionych na rynku małżeńskim wielkiego świata, żadna nie zdołała wywrzeć na nim głębszego wrażenia. Wstręt wzbudzało w nim stanowcze przekonanie, że one wszystkie wyciągnęłyby ku niemu obie ręce, gdyby zechciał, i że tak samo wyciągnęłyby je do każdego innego ordynata.

Ową młoda dziewczyna w loży Simmersburg'owej nie stanęła jeszcze na placu boju; z jej skrzydeł (porównywał ją do anioła) nie wypadło jeszcze ani jedno białe pióro w szermierce zalotności. „Tego anioła chciałbym mieć!“ Wszystko zresztą było jak w programie: nieskazitelny rodowód, dobre wychowanie, olśnie-

wająca uroda, pocóż wahać się jeszcze? Czy miał czekać aż ogarnie go, tak zwane, namiętne uczucie? Mało było na to widoków, albowiem dotychczas miał takie nieszczęście, że kochał się zawsze w mężatkach. Przeświadczenie, że każda panna kokietowała go z zamiarem powziętym z góry, jako najświetniejszego epuzera Wiednia,—tłumiło w nim wszelką tlejącą się namiętność, dlatego też kochał się tylko w takich które nie widziały w nim „partyi", t. j. w kobietach zamężnych. Teraz właśnie szalał za Izi Thunem; na ostatnim balu dworskim wyznał jej nawet swoją miłość podczas walca z „Zemsty nietoperza", ale—spotkał się z odmową. Izi wogóle postępowała z nim zbyt okrutnie; małżeństwo będzie zatem jednocześnie małą zemstą, zgotuje jej w każdym razie przykry kwadrans... Więcej niż tych wszystkich powodów nie trzeba było, by błyskawiczną myśl Wetterstein'a w czyn zamienić. W ten sposób tedy zaręczyny przyszły do skutku, lecz w duszy narzeczonego nie zadrgało najlżejsze echo tych akordów miłosnych, które rozbrzmiewały w pełnem oddania sercu narzeczonej. Mniemała, iż jest kochaną, upragnioną, zrozumianą, on zaś nie widział w niej nic prócz prześlicznej twarzyczki.

Nadszedł czerwiec, Hans miał wyjeżdżać dnia następnego i u Simmersburg'ów odbywał się urządzony na jego cześć obiad pożegnalny. Jechał do Anglii, aby tam spędzić jeszcze część sezonu londyńskiego i być obecnym na wielkiem „*Derby*". Ztamtąd zamierzał udać się do Paryża na „*Grand-Prix*", a potem powrócić do Austryi, do dóbr majoratu. Wesele

odbyć się miało w październiku, na zamku Simmersburg w Czechach, a kilka tygodni przedtem miał książe przybyć w gościnę do sąsiedniego zamku Herrenberg, by je spędzić w pobliżu narzeczonej. Rozłączali się zatem na trzy miesiące.

Hans siedział przy stole obok Gertrudy. Młoda dziewczyna czuła, że ogarniał ją smutek na myśl o pożegnaniu. Hans natomiast był weselszy, niż zazwyczaj; cieszył się podróżą, a rozstanie z Gertrudą nie sprawiało mu przykrości. Będąc w domu Simmersburg'ów nie mógł się nigdy oprzeć uczuciu lekkiej nudy. Babcia była zawsze obecna, nie wiedział dobrze, o czem właściwie rozmawiać z młodą dziewczyną; słowem, godziny, które musiał spędzać w domu narzeczonej, były dla niego pańszczyzną. „On mnie nie kocha“,—myślała Gertruda z bolesnem westchnieniem. Ale umiała zawsze myśl tę odpędzić rozsądnym wnioskiem: „Chce się ze mną żenić; a pocóżby chciał, gdyby mnie nie kochał?“

— Czy pan będzie często pisywał do mnie?— odważyła się zapytać lękliwie sąsiada.

— Naturalnie, że będzie pani miała częste wiadomości odemnie; zdam pani sprawę z mego pobytu, ze wszystkich moich przygód. Ale nie jestem wielkim pisarzem, nie mogłem nigdy odwrócić kartki arkusza listowego; kończę zawsze na pierwszej stronicy.

— Doprawdy! Ja koresponduję z koleżanką z instytutu i nasze najkrótsze listy mają po szesnaście stronic.

— Wielki Boże, pani mnie przeraża!

— Niech się pan nie obawia. Potrafię zakończyć listy do pana na pierwszej stronicy, jeżeli pan wogóle listów odemnie żądać będzie.

— Naturalnie, że będę żądał, staną się one największa uciechą na mojem wygnaniu.

Frazes ten był fałszywy i tak też brzmiał. Nietylko monety, ale i wyrazy wydają dźwięk prawdziwy i fałszywy.

— Wygnanie to jest dobrowolnem, — odparła Gertruda.

— Tak, o tyle, że poddaję się dobrowolnie losowi: dawne przyrzeczenia zniewalają mnie, abym jechał do Londynu i Paryżu; interesa powołują mnie na wieś; inaczej pozostałbym najchętniej przy mojej ukochanej narzeczonej.

Powstano od stołu i wszyscy przeszli do salonu. Tutaj Hans wdał się w długą gospodarską rozmowę z pewnym starym właścicielem ziemskim. Gertruda, siedząca w przeciwległym rogu salonu z kilka kuzynkami, uważała to postępowanie narzeczonego za karygodne uszczuplenie swoich praw; dzisiaj przynajmniej, ostatniego dnia, powinien był cały jej się poświęcić. Była wprawdzie przyzwyczajona do tego, że w jej towarzystwie brał udział w ogólnej rozmowie, albo gawędził z innymi, ale dzisiaj martwiło ją to podwójnie! Spodziewała się, że usiądzie obok niej i z okazyi pożegnania rozpocznie upragnioną oddawna rozmowę, w której dusze ich zespolą się nareszcie, a tu zamiast tego: uprawa kartofli, szkółka drzew i hodowla owiec!

Hans spojrzał na zegarek.

— Dziewiąta dochodzi, — rzekł, zbliżywszy się do gospodyni domu,—czas pożegnać się.

— Dlaczego tak wcześnie?—spytała hrabina.

— Umówiłem się jeszcze z kilku przyjaciółmi. A teraz, droga panno Gertrudo, trzeba, jak mówią, „rozstać się z tem, co mamy najukochańszego“.

Gertruda wstała. Podniosły się również przyjaciółki, które obok niej siedziały i oddaliły się o parę kroków, aby nie przeszkadzać pożegnaniu narzeczonych.

— Żegnam cię, moja kochana, śliczna Trudi; myśl o mnie, pozostań mi wierną i pisz do mnie pilnie.

Usta Gertrudy zadrgały, oczy jej napełniły się łzami, niezdolna była wymówić słowa.

— Czy babcia pozwoli,—zwrócił się Hans do hrabiny,—żebym pocałował moją narzeczoną?

— W czoło, kochany książę, w czoło.

Hans pochylił się i wycisnął pocałunek na czole Gertrudy. Poczem pożegnał się z innymi i odszedł.

Teraz Gertruda nie była już zdolna panować dłużej nad sobą i, łkając, rzuciła się babce na szyję.

— Ależ, Trudi, doprawdy to nie wypada.

Obecne hrabianeczki zbliżyły się ze słowami pociechy:

— Moja droga, moja kochana, nie płacz, Trudi, czas tak szybko mija!

Hans tymczasem pojechał do pałacu Hohenberg'ów.

— Czy panie w domu?—zapytał odźwiernego:

— Tylko pani hrabina. Jej książęca mość wyjechała.

Nie pytając dalej, czy hrabina przyjmuje, Hans wbiegł na schody. Przypadkowo nie było służby w przedpokojach, książe minął tedy szereg pustych salonów, dotarł do małego saloniku, w którym panie domu przesiadywały zazwyczaj i wszedł nie anonsowany.

Pokój pogrążony był w półcieniu trzech, osłoniętych ciemnikami, lamp. Izi stała w niszy otwartego okna, zapatrzona w ciepłą noc czerwcową. Myśli jej przebywały przy tym, który teraz stał za nią w progu. Od owej rozmowy na tarasie spotykali się tylko przelotnie, w towarzystwie, i nie zamienili już ze sobą poufalszego słowa. Jego ostatnie zapytanie: „Izi, czy mam się cofnąć?“ dźwięczało jej ciągle w uszach. Za sprawą tego śmiałego zdania przyoblekło się w postać owo nieokreślone coś, co ich ku sobie przyciągało. Cóż to było poprzednio: gra zalotna, flirt?... Zapytanie to zaś nadawało kształt niejasnemu uczuciu: on ją kochał i wiedział, że jest kochanym. Wprawdzie odparła dumnie: „Książę myli się bardzo“, ale kogóż kłamstwo to oszukało? Gdyby była wypowiedziała to, czego żądał, opuściłby narzeczoną i padł jej do nóg, jako—niewolnik? Nie, jako pan. „O, miałam po tysiąckroć słuszność, żem mu dała odprawę... ale on nie powinien był pomyśleć nawet o zaręczeniu się, dopóki tylko widział w oczach moich błysk nadziei... Zresztą, tak lepiej, stał mi się doprawdy już niebezpieczny, a teraz skończyło się wszystko...“

— Hrabino!...

Na dźwięk tego głosu Izi odwróciła się szybko. Dech zamarł jej w piersiach.

— Przyszedłem pożegnać się z panią; wyjeżdżam jutro.

Młoda kobieta zapanowała już nad sobą. Opuściła niszę i podała rękę gościowi.

— Bardzo to uprzejmie z pańskiej strony, — rzekła, ruchem głowy krzesło mu wskazując, — że nam pan sam przynosisz swoją kartę *pour prendre congé*. Siostry niema w domu, będzie bardzo żałowała... Dokądże to książę jedzie?

Izi usiadła na fotelu i oparła rękę na stojącym obok stole. Ciemnik różowy rzucał na jej twarz delikatny odblask. Biała jej ręka bawiła się flakonikiem, który leżał na stole, a drobne stopy wysunęły się z pod koronek *balayeuse'y* i spoczęły na poduszce atłasowej, rzuconej przed fotel. Hrabina ubrana była w suknię z jasno-żółtego *surah*; pęk róż herbatnich przypięła do stanika, wyciętego w *coeur*, i takie same róże jaśniały w kruczych włosach. Wyglądała zachwycająco.

Na zapytanie, zadane tonem obojętnym, zimnym, odpowiedział Wetterstein podobnym głosem:

— Najpierw do Londynu. Później zamierzam pojechać do Paryża.

— A... W takim razie może się tam spotkamy. Postanowiłyśmy wraz z Kari spędzić sezon w Trouville, a przedtem zabawić parę tygodni w Paryżu, w każdym razie nie wyjedziemy przed „*Grand-Prix*“.

I tak rozmawiali przez czas jakiś zwyczajnym tonem konwersacyjnym. Ale myśli ich odbiegły daleko. Pierwszy to raz znaleźli się sam-na-sam o tej wieczornej godzinie, śród przyćmionego, różowego blasku lampy. Świadomość, że stali już nad przepaścią miłości, że padły już między nimi namiętne słowa, nadawała temu *tête-à-tête* szczególnie niepokojący urok. To też coraz częstsze pauzy przerywały ich rozmowę, w głosach ich zaczęło stopniowo odzywać wzruszenie, bynajmniej nie licujące z zimnemi słowami; oczy ich szukały się i tonęły w sobie wzajemnie... Nagle Hans wstał:

— Ja tego dłużej nie zniosę, muszę wypowiedzieć, co mam na sercu... Prowadziłaś pani ze mną okrutną igraszkę!

— Ja! A któż to z nas dwojga zerwał pierwszy?—odparła Izi; również rada mówić o tem, co jej w tej chwili zapełniało duszę.

Hans zbliżył się do niej i pochwycił jej rękę. Wyrwała mu ją gwałtownie.

— Postąpiłeś pan zresztą zupełnie słusznie,— dodała, — nadziei bowiem nie było dla pana żadnej.

— Nie byłabyś mnie nigdy kochała?

— Zabraniam panu mówić mi ty! Gdybym nawet konała z miłości, jeszczebyś pan nie mógł mieć żadnej nadziei.

Wstała.

— Odejdź pan. Żegnam pana!

— Izabello!

Chciał objąć ramieniem jej kibić, ale cofnął się szybko. Lokaj otworzył drzwi i zameldował gości.

— Jeszcze raz, żegnam pana, — odezwała się Izi.

— Nie,—odparł, całując jej rękę,—do widzenia!

VI.

Cały Paryż jest jeszcze w Paryżu.

Dopiero, gdy miną wielkie wyścigi (o nagrodę 100,000 fr.) i przy tej sposobności pokazane zostaną światu najświetniejsze mody letnie, zarówno Paryżanie jak i cudzoziemcy opuszczą stolicę.

„*Grand-Prix*" odbyć się ma za tydzień; na dziś zapowiedziane jest przyjęcie nowego „nieśmiertelnego" w Akademii; jutro urządza *Figaro* w Trocadero wielką zabawę na cele dobroczynne, a damy wielkiego świata i ulubione aktorki obejmą rolę sprzedawczyń; dwa świetne wesela odbyć się mają w ciągu dni następnych, w pałacach przedmieścia St Germain odbywają się „*sauteries*", w salonach wieczory literackie, w klubach przedstawienia dramatyczne; wszystkie teatry są otwarte,—słowem: cały Paryż jest jeszcze w Paryżu.

Oczywiście, to co sią nazywa „całym Paryżem,“ wynosi zaledwie setną część jego ludności. To działanie optycznego złudzenia, ta nazwa „całego Paryża“ nadana pewnej klasie, mianowicie klasie bulwarowców, znakomitości chwilowych i milionerów, tej garstce ludzi, która się bawi hałaśliwie. Niezliczone tłumy, stojące po za obrębem tego zaczarowanego koła, spoglądają z zazdrością i podziwem na ten tryb życia, który im się wydaje szczytem szczęścia na tej ziemi. Gdzie tylko mogą, usiłują dowiedzieć się czegoś o nim; w oknach wystawowych handlarzy fotografii, w sprawozdaniach dziennikarskich, wszędzie przyglądają się, czytają, nasłuchują, byle uchwycić jakie echo, jakie odbicie. Tem żywią swoją zazdrość, a niekiedy i słabą nadzieję, że kiedyś sami do szczytu tego dosięgną. Wszak istnieje doń dróg wiele: bogactwo, talent i miłostki... a zatem każdy subjekt sklepowy może mieć nadzieję, że jako potentat finansowy, każdy uczeń lyceum, że jako członek Akademii Francuskiej, każda ładna córka odźwiernego, że jako gwiazda półświatka, — wymienieni będą między bywalcami świetnej premiery.

Siostry Izi i Kari bawią już od dwóch tygodni w Paryżu.

Książę Hohenberg towarzyszył im, ale przed dwoma dniami powrócił do Austryi, gdzie, jak utrzymywał, sprawy parlamentarne wymagały koniecznie jego obecności. Ilekroć wyjeżdżał z kraju, ogarniało go niemiłe przekonanie i obawa, że prąd wolnomyślny porwie nawę polityczną.

— Stanowisko nasze, zachowawców, — perorował przed kilku dniami po obiedzie w ambasadzie austryackiej, — jest stanowiskiem straży. Jesteśmy szyldwachami porządku państwowego i społecznego. Jeżeli nie mamy dopuścić do władzy żywiołu radykalnego, musimy zawsze być w pogotowiu, zawsze bronić, ostrzegać, wołać „kto tam!“ Muszę powracać do Austryi, choćby dlatego, żeby przeczytać dwa numery tygodniowe pism humorystycznych, których tu nie miałem; mam nadzieję, że znajdę w nich swój portret... Ludzie skarżą się we Francyi, że prasa ich jest zanadto nieokiełznana, że nazywa bezkarnie prezydenta poliszynelem; ale wierzajcie mi, panowie, u nas jest równie źle... Nie napadają oczywiście na głowę rządu; ale jego podpory, przedstawiciele wszystkich zasad monarchicznych i prawnych, są ośmieszani, obrzucani obelgami, karykaturowani, tak, że możnaby skonać ze złości, gdyby człowiek nie czuł się wyższy nad te wymysły. Sumienie moje wzywa mnie do Wiednia; każde słowo, którego nie wypowiadam w obronie naszej zagrożonej sprawy, ciąży mi na duszy, jak wyrzut. Nadto, szczerze mówiąc, Paryż mi się nie podoba... Jesteśmy tu między sobą, sami Austryacy i szlachcice, mogę panom zatem powiedzieć, że ta atmosfera demokratyczna jest mi w najwyższym stopniu wstrętna;... drażni moje nerwy, wzbudza we mnie gniew i odrazę... Miasto jest wspaniałe, przyznaję; ale człowiek, który widział raz Pola Elizejskie i Luwr, muzea i teatry, fabrykę gobelinów i Inwalidów, wyczerpał rozkosze, jakie może tu znaleźć cudzoziemiec; co się zaś tyczy życia, drażni mnie

to w najwyższym stopniu, że muszę zawsze się przeciskać przez karawanseraj awanturników. U nas przynajmniej, człowiek, wszedłszy do towarzystwa, może być pewien, że to towarzystwo jest dobre, że dokoła niego szanują te zapatrywania, które on ceni, gdy tymczasem tutaj, właśnie w kołach urzędowych, panują najszkodliwsze zasady... Jedyny przyzwoity odłamek towarzystwa, arystokracya legitymistyczna mianowicie, zamurowała się na swojem przedmieściu, a ideały jej, które są przecież i naszemi, uchodzą za rokokowe i nie mają żadnego wpływu na bieg wypadków politycznych. Ponieważ zaś jestem politykiem duszą i ciałem, przeto ruch polityczny w kraju, w którym przebywam, zajmuje mnie przedewszystkiem, i dlatego pilno mi opuścić Paryż... Wszystkie te ohydne dekrety banicyjne, wydane przeciw księżom i książętom spadają mi tutaj zbyt bezpośrednio na głowę... Żona moja i szwagierka zostają jeszcze. Niech się rozkoszują przejażdżkami po Lasku, wędrówkami po wielkich sklepach i magazynach, ale ja mam sprawy pilniejsze: kwestya szkolna czeka na załatwienie.

Książę Hohenberg odjechał tedy, wiedząc, że panie jego są pod dobrą opieką. Książe Emil, który był również w Paryżu, ofiarował siostrom swoje usługi, ilekroć ich będą potrzebowały, i zobowiązał się towarzyszyć im wszędzie.

Księżna Hohenberg i hrabina Thunen mieszkają w hotelu „*Continental*“. Orszak ich składa się z bony Angielki (księżna zabrała ze sobą córeczkę), trzech pokojówek i dwóch lokajów; oprócz tego miały z sobą zausznika rodziny Hohenberg’ów, byłego urzę-

dnika zarządu dóbr, który teraz, podczas podróży, spełniał obowiązki sekretarza, ochmistrza i kuryera. On załatwiał rachunki, robił zamówienia, starał się o loże, wynajmował powozy i t. p.

Mieszkanie, które obie panie zajmują na pierwszem piętrze w hotelu, składa się z dwóch wielkich salonów, jadalni, dwóch sypialni z przylegającemi gotowalniami, oraz pokojów dla służby. Gdyby faktotum pań, pan Keller, był lepiej obeznany ze stosunkami paryskiemi, byłby na sześciotygodniowy pobyt wynajął mały pałacyk w dzielnicy Elizejskiej; panie wszakże były z mieszkania w hotelu zadowolone; brakło im wprawdzie spokoju, do jakiego były w swoich pałacach przyzwyczajone, wydawało im się nieraz, że przebywają w jakimś obozie koczowniczym, ale niezwykłość tych warunków wzmagała urok życia podróżniczego.

Z wielką przyjemnością stały na balkonie salonu i spoglądały na ożywioną ulicę de la Paix, obserwowały ruch i odmęt życia bulwarowego, same zupełnie nieznane. W Wiedniu siostry nie mogły zrobić kroku na ulicy, żeby wszyscy właściciele sklepów, a nawet i przechodnie nie potrącali się, szepcąc: „Hohenberg'owa—Thunen'owa“. Tutaj, z dziecinną niemal uciechą, chodziły niekiedy same przed południem po ulicy de la Paix i pod arkadami na ulicy Rivoli; również w Lasku Bulońskim i w teatrze szczególnego doznawały wrażenia, że nie szeptano zaraz na wszystkie strony, podobnie jak w Praterże lub w Burgu: „Hohenberg'owa—Thunen'owa“.

Pora dnia popołudniowa, między czwartą a piątą — godzina wizyt. Powóz sióstr zatrzymuje się przed niewielkim pałacem na ulicy de Pressbourg.

Tutaj mieszka pani Orsaki, arystokratka rumuńska, z którą księżna Hohenberg poznała się przed kilku dniami u ambasadorowej austryackiej. „Wtorek, to mój dzień“, — powiedziała Rumunka przy pożegnaniu, a ponieważ wesoła, miła kobieta podobała się bardzo siostrom, przeto zaraz następnego wtorku złożyły jej wizytę.

Salony przyjęcia w pałacu Orsaki znajdują się na parterze. Szereg świetnie urządzonych pokojów kończy niewielki salonik, w którym gospodyni przyjmuje gości. Gdy Izi i Kari wchodziły, kilka innych pań opuszczało salonik i pozostała tylko jedna.

Pani Zofia Orsaki przyjmuje obie Austryaczki z żywą radością.

— *Vous êtes des amours*... jestem zachwycona, że panie pamiętały o mnie... od czasu naszego poznania, myślę tylko o paniach, podbiłyście mnie zupełnie. Panie pozwolą, że je zapoznam: księżna Hohenberg, hrabina Thunen, margrabina Robertyna de Marcy, królowa *pschütt'u*; zostaniecie panie niebawem najlepszemi przyjaciółkami... musimy we cztery zawrzeć przymierze i bawić się, jak szalone.

— Szkoda tylko, — odezwała się margrabina,— że panie przyjechały o takiej późnej porze: za tydzień Paryż będzie pusty, a potem trzeba jechać do kąpieli morskich.

— I my mamy ten zamiar; chcemy jechać ztąd do Trouville.

— Ach, jak to dobrze! W takim razie spotkamy się tam. Tylko musimy namówić naszą kochaną panią Orsaki, by porzuciła swoje barbarzyńskie plany podróży i przyłączyła się do nas.

— O, jakbym ja chciała! Czy pani sądzi, że z przyjemnością jadę w stepy? Ale, doprawdy, muszę zajrzeć do moich dóbr. Rządcy okradają mnie, jak zbóje w lesie... a ja potrzebuję pieniędzy. Okropność, jakie sumy ten Paryż pochłania! Miasto wasze, Robertyno, jest rajem, ale prowadzącym do zguby... Najskromniejsza sukienka kosztuje tysiąc franków, a kto się szanuje, nie może nosić kapelusza niżej dziesięciu ludwików.

Teraz rozmowa przeniosła się do dziedziny „tualety", t. j. dziedziny niewyczerpanej: Pani Orsaki, a zwłaszcza pani Marcy mówiły o tym przedmiocie z taką powagą, z takim zapałem, możnaby prawie powiedzieć z takiem namaszczeniem, — że wydawać się mogło, iż „tualeta" jest bóstwem, a służba jej kapłaństwem.

Postać margrabiny podobna jest do obrazu, kultowi temu poświęconemu. Ma ona lat mniej więcej trzydzieści dwa; wzrostu średniego; twarzy o rysach zmiętych i bladej cerze, nie celuje bynajmniej urodą; pomimo to jednak, gdy tak siedzi, elegancka, wytworna, pełna wdzięku w ruchach, z subtelnym uśmiechem na ustach, rozmawiająca z ożywieniem, dzwoniąca łańcuszkami bransoletek na długich duńskich rękawiczkach, woniejąca nieokreślonym zapachem, unoszącym się z jej sukien — posiada jakiś szczególny, upajający czar. Jest ona, jak mówią Paryżanie,

w swoim żargonie, „*femme très femme*“; mianowicie zalotna, nerwowa, płocha — nowoczesna.

Robertyna jest wdową. Przed laty czternastu margrabia de Marcy, przeżyty, zrujnowany arystokrata, chcąc, — jak brzmi utarty frazes, — pozłocić na świeżo swój herb, ożenił się z siedemnastoletnią córką przemysłowca, panną Robertyną Durand, która tylko co opuściła pensyę i miała siedem milionów posagu.

Szczęście tego małżeństwa było takie, jak należało się spodziewać. Ona cieszyła się zdobytą koroną szlachecką; on pozłoceniem herbu. Ona paradowała nową koroną w wielkim świecie; on trwonił, podobnie jak poprzednio, złoto w buduarach półświatka. Urodziła im się córeczka: powód do wyprawki, oszytej koronkami *valenciennes* i do uroczystego aktu chrztu, którego dopełnił arcybiskup Paryża. Po latach kilku margrabia umarł: powód do okazałego pogrzebu, uroczystego złożenia zwłok w starym grobowcu rodzinnym, do welonów krepowych i tualet żałobnych, w których było młodej wdowie znakomicie do twarzy.

Po upływie obowiązkowego roku żałoby, margrabina powróciła do życia światowego. Olbrzymi majątek i nieograniczona swoboda pozwoliły jej urządzić sobie życie tak rozkosznie, jak tylko pragnęła. A największą jej rozkoszą był zbytek—to jest zadowolenie próżności. Pałac jej stał się jednym z najwspanialszych w Paryżu; na tualety wydawała rocznie przeszło pięćdziesiąt tysięcy franków i opisywa-

no je we wszystkich kronikach mód. Ekwipaże i liberya — całe urządzenie domu było wzorowe.

Z nazwiska, jakie nosiła, należała do przedmieścia St Germain, ale po śmierci męża porzuciła ciasną sferę towarzystwa legitymistycznego, którego zapatrywań i dążeń nie podzielała i które zawsze okazywało jej, mieszczance z urodzenia, pewien chłód w obejściu — i otworzyła salony swoje dla świata urzędowego, a zwłaszcza dla cudzoziemskiego. Nie brakło jej na żadnym balu w Elizeum, ministeryum, czy ambasadzie, przyjmowała u siebie wszystkich przejeżdżających książąt.

Salonu, – tego co w Paryżu nazywają salonem, a mianowicie wpływowe grono znanych osobistości, mające charakter polityczny lub literacki, — takiego salonu margrabina nie miała. Do tego brakło jej samej inteligencyi i charakteru. Pisarzy i uczonych, malarzy i muzyków do domu swego nie ściągała; w jej oczach ludzie ci należeli do „cyganeryi". Na rozkosze umysłowe nie była Robertyna wrażliwa; absorbowały ją najzupełniej uciechy, obowiązki i ciężary życia światowego. Dzień jest istotnie zakrótki dla takiej królowej mody, jeśli chce ona spełnić wszystkie jego zadania.

Proszę osądzić:

O godzinie dziesiątej zrana wchodzi panna służąca, by pootwierać okiennice w sypialni. Następnie wnosi na srebrnej tacy herbatę lub czekoladę oraz listy i gazety. Pani nie zaraz może się zdecydować wsunąć stopki w przygotowane, łabędzim puszkiem obramowane, pantofelki, — przez kwadrans jeszcze

przeciąga się i przewraca na koronkach i puchu łoża, w uszach jej dźwięczy echo muzyki balu wczorajszego, w głowie snują się projekty na dzień dzisiejszy. Ale nareszcie czas wstawać. W przyległej gotowalni paruje wonna kąpiel. Obok wanny spoczywa w dużej saszetce atłasowej bielizna dzienna. Po kąpieli, pani zarzuca penioar, powierza włosy rękom panny służącej i, rzucając, od czasu do czasu, spojrzenie w zwierciadło, obrabia swoje różowe paznogcie rozmaitemi narzędziami z kości słoniowej, spoczywającemi w błękitnem aksamitnem puzderku. Gdy fryzura skończona, zamienia penioar na miękki szlafrok, a tymczasem minęła już jedenasta.

Czas do śniadania, podawanego o godz. pół do pierwszej w jadalni, schodzi szybko na czytaniu listów, przerzucaniu dzienników, przeglądaniu rachunków domowych i innych, naradach z *maître'm d'hôtel* nad sprawami gospodarskiemi, pisaniu bilecików. Część tych interesów musi czekać na załatwienie po śniadaniu, zwłaszcza w porze wiosennej, kiedy godziny ranne spędzane są na przejażdżkach konnych w ujeżdżalni lub w Lasku. Około godziny drugiej zajeżdża przed dom jednokonna karetka; pani wdziewa skromny strój spacerowy i jedzie do miasta załatwiać sprawunki lub odbywać długie posiedzenia u wielkiego krawca; tutaj spotyka kilka przyjaciółek i gawędzi z niemi na niewyczerpany temat „*chiffons*“. O godzinie czwartej przejażdżka po Lasku, ztamtąd wizyty. Jednego dnia w tygodniu pani przyjmuje u siebie, w inne dni chodzi na pogawędki *five*

o'clock'owe do znajomych. Po godzinie szóstej trzeba się ubrać do obiadu.

Zaraz po obiedzie, jeśli nie ma gości, a niekiedy i z nimi, jedzie pani do teatru. We wtorki ma lożę „*aux Français*" *), w piątki w Wielkiej Operze, w sobotę we włoskiej, w inne dni chodzi w towarzystwie przyjaciółki do jednego z małych teatrów, bo przecież trzeba widzieć wszystkie sztuki, które są *en vogue*. Nadto każdy wieczór, oprócz teatru, przynosi bal lub raut, tak, że pani przed godziną drugą czy trzecią po północy nie udaje się na spoczynek. Wobec tak wypełnionego życia, gdzież tu czas na kształcenie umysłu, na uciechy rodzinne? To też, jeśli pani ma dzieci, synowie są w lyceum, a córki w klasztorze. Taki jest tryb życia podczas miesięcy zimowych; ale i inne pory roku są niemniej wypełnione. W kąpielach morskich tualeta zmieniana bywa niekiedy trzy, nawet pięć razy dziennie. Jesienią, na zamkach, odbywają się polowania, teatry amatorskie; wiosną wyścigi, Salon, oraz inne wystawy; nabożeństwa podczas wielkiego postu (na ten cel noszone są specyalne, wytworne stroje: czarne, z różańcami i gęstemi woalkami); pikniki powozami, konno, piechotą i łodziami, bazary dobroczynne, poranki dramatyczne, koncerty, cyrk, wieczory na cześć podpisania intercyzy ślubnej i wesela; udział w dziełach dobroczynnych; od czasu do czasu obiad w restauracyi w towarzystwie kilku znajomych (niekiedy może tylko w towarzystwie je-

---

*) W Komedyi Francuskiej (*Przyp. tłóm.*).

dnego... mała eskapada...), słowem życie gorączkowe, wyczerpujące, przekraczające miarę czasu i możność używania, pogoń za przyjemnościami. Na skupienie ducha, na ciche rozejrzenie się we własnem sercu, na spokój duszy i wypoczynek miejsca tam nie ma.

Podobnie, jak za naszych czasów wzrost materyału naukowego wywołał zło, które się nazywa przeciążeniem szkolnem, tak samo, skutkiem nagromadzenia się uciech światowych, skutkiem żądzy zakosztowania wszystkiego, zapanowało w dzisiejszem społeczeństwie przeciążenie rozrywek. I podobnie jak z pierwszego zła powstają tak nazwane choroby szkolne: krótki wzrok, wąska klatka piersiowa i t. p. tak samo wynikają z drugiego tak nazwane choroby wieku: przesyt, newroza, bezkrwistość. W słabszem stadyum nazywają ich objawy: dystynkcyą, wrażliwością, delikatnością, — a stan ten nazywa się modernizmem.

Robertyna de Marcy nie chciała wyjść powtórnie zamąż,—zanadto ceniła swoją wolność. Doświadczyła już raz, co to jest być poślubioną dla pieniędzy i postanowiła nie powtarzać eksperymetu. Czy od czasu do czasu nie darowywała—albo nie wypożyczała swego serca? Kto to wie? Obmowa nie ośmiela się podnosić wielkiego głosu i szarpać tych, którzy posiadają siedem milionów i prowadzą świetny otwarty dom; conajwyżej rozlega się cichy szept, połączony ze znakami zapytania, uśmiechami i wzruszeniem ramion, szept, wyrażający raczej złośliwe uznanie, niż oburzenie moralne.

O pani Zofii Orsaki opowiadano sobie już głośniej, że życie jej usiane było różnemi przygodami, ale szło to na rachunek jej „ekscentryczności“; nazywano ją „oryginałem“, „*tête folle*“ i nie troszczono się więcej o jej drobne wybryki prywatne. Pani Orsaki była również,—jak Robertyna,—wdową i bogatą, t. j. zupełnie samodzielną. Wiek: blisko czterdziestki; postać: mała i zręczna; uroda: żadna, ale za to wielki szyk.

Rozmowa czterech kobiet toczyła się na wszczęty temat o tualecie. Obie Austryaczki odegrywały wszakże przytem rolę raczej słuchających i pytających, niż opowiadających i decydujących. Jako damy światowe i Wiedenki lubiły wprawdzie także stroje i miały gust, ale wobec tych władczyń mody było im, jak dyletantkom wobec sławnych artystów, jak laikom wobec wyświęconych braciszków zakonu: czuły swoją niższość.

Od tualety przeszła naturalnie rozmowa na zapowiedziane zabawy. Margrabina, przebrana za Chinkę, miała na bazarze dobroczynnym sprzedawać herbatę.

— Ale, — wtrąciła księżna Hohenberg, — czytałam w *Figarze*, iż gwiazdy waszych małych teatrzyków, Chaumont, Jeanne Granier, Leonida Leblanc i t. d. sprzedawać będą kwiaty; czy to nie przeszkodzi paniom z towarzystwa wziąć czynnego udziału w zabawie?

— Bynajmniej, — odparła pani de Marcy, — wszak wszędzie spotykamy się z temi paniami, na placu wyścigowym, na wybrzeżu morskiem, w teatrze

Nie rozmawiamy z niemi, ale tego wspólnego przebywania uniknąć trudno.

— Moja kochana księżno, — żartowała Rumunka,—z jakiejże to średniowiecznej krainy przybywasz, skoro nie wiesz, że jedyną szansą zabawy dla nas, dam wielkoświatowych jest naśladowanie pań z półświatka, pokazywanie się tam, gdzie i one się ukazują, podejmowanie z niemi walki o urodę i elegancyę, jeśli chcemy wogóle zdobyć spojrzenie „złotej młodzieży?“

— Pani Orsaki, przesadza pani—zauważyła Robertyna.

— Naturalnie, że przesadzam. Bez silnego nałożenia farb, nie umiem mówić; gdyby opowiadano fakty tak jak są, nie wywierałyby w swej bezbarwności i jednostajności żadnego wrażenia; niema nic bardziej pozbawionego charakteru, niż rzeczywistość... Kto chce jeszcze filiżankę herbaty?

Na stoliku, obok miejsca gospodyni domu, paruje i szumi srebrny samowar. Przy nim stoi srebrny koszyk z pieczywem i buteleczka araku dla panów. Dzisiaj, przypadkowo, niema żadnego przedstawiciela tego gatunku w salonie. Na gawędy *five o'clock'owe* zbierają się przeważnie panie; mężczyzni ukazują się tylko na krótko, gdy chodzi o złożenie wizyty etykietalnej. Panie tylko spędzają na tych przyjęciach popołudniowych godzinę lub dwie i „*potinują*“, jak się mówi w żargonie, co ma poprostu znaczyć: „plotkują.“

Wyraz „*potin*“ ma osobliwe pochodzenie.

„Był sobie raz“ na rogu jakiejś ulicy w Paryżu kupiec korzenny, nazwiskiem Potin. Kucharki domów sąsiednich spotykały się w jego sklepie i opowiadały sobie wzajemnie co się dzieje w domach, gdzie służą: „Pan robi długi, pani ma nowego wielbiciela, panienka się zaręczyła“ i t. p. Te wiadomości przedostawały się następnie do państwa. „Czy wiesz“, mówiła pani X. do swego męża, wysłuchawszy ciekawie raportu kucharki, „pan taki i taki ma długi?“ — „A! zkąd wiesz?“ — „Opowiadano u Potin'a.“ — Następnego dnia: „Co ty na to, pani ta a ta ma nowego wielbiciela.“ — „Doprawdy? któż ci to mówił?“—„Bona dowiedziała się u Potin'a.“ — Trzeciego dnia: „Słyszałeś? Panna Ernestyna zaręczona.“—„Tak? Czy przysłano zawiadomienie?“ — „Nie ale u Potin'a...“ — „Znów świeży *potin*!“ — zawołał mąż oburzony i w ten sposób narodził się nowy wyraz. Powtórzono go, rozpowszechniono i dzisiaj w Paryżu każda ploteczka nazywa się „*potin*“—stworzono nawet słowo „*potiner*“, a wyrażenie, które ze sklepiku korzennego wzięło swój początek, zyskało dostęp do sfer najwyższych, — „potinowano“nawet w Tuileryach.

Czterem paniom, zebranym w salonie Rumunki, zabrakło jednak wkrótce tematu do „potinowania.“ Dwie z nich były cudzoziemki, nieznane zupełnie w kołach dwóch pań pozostałych, nie mogły ich zatem interesować drobne zdarzenia z kół owych.

Po kwadransie tedy siostry zabrały się do odejścia.

— Niech panie nie zapominają, że środa, to mój dzień,—rzekła pani de Marcy, przy pożegnaniu.

VII.

Książe Emil, którego książe Hohenberg mianował przed wyjazdem opiekunem i mistrzem zabaw obu pań, zaopatrzył się na ten wieczór w lożę do teatru „*Renaissance.*“

Opuściwszy salony Rumunki, Izi i Kari kazały się zawieźć do Lasku Bulońskiego. Około godziny siódmej powróciły do domu, z zamiarem szybkiego spożycia obiadu, by Emil nie czekał, gdy przyjdzie po nie do tearu. Zastały już księcia w hotelu.

— Ach, jak to dobrze!—zawołała Kari.—Książe zje z nami obiad.

— Nie, przeciwnie... ale przecież panie nie mają gości?

— Nie, jesteśmy same.

— Wybornie, w takim razie mogą panie spełnić moje życzenie. Chciałem paniom zaproponować, aby, zamiast jeść obiad w tej nudnej jadalni, gdzie może nam się zdawać, że jesteśmy w Wiedniu, pójść we troje, jak mówią Francuzi, *diner au cabaret.* Pójdziemy

poprostu do Bignon'a, a ztamtąd do teatru. Spędzimy prawdziwie paryski wieczór.

— Nie wiem doprawdy, czy...

— Ach, dobrze, dobrze!—zawołała młodsza siostra,—pójdziemy... wyśmienita myśl, kochany książe!

— Nie, nie chcę,—rzekła po chwili księżna Hohenberg.—Mogą nas zobaczyć i poznać.

— Ależ, kochano księżno, — perswadował Emil, — czy sądzisz, że chcę panie zaprowadzić w jakie nieprzyzwoite miejsce, na jaką orgię, że okażę się takim niegodnym urzędu, jaki mi powierzono? Moja propozycya nie jest ani nadzwyczajna, ani niebezpieczna. Wszyscy cudzoziemcy tutaj jadają w restauracyi. Gdyby panią poznano u Bignon'a, nie ubliżyłoby to pani bynajmniej, to tak samo, jakgdyby panią poznano w teatrze. W tych dniach dopiero jadłem tam obiad, z najdumniejszym z grandów hiszpańskich, księciem Alvazez i jego żona.

— Tak, małżeństwo, to co innego. Izi i ja jesteśmy jednak bez mężów,—odparła księżna.

— Ale z siwowłosym, nie niebezpiecznym przyjacielem.

— Wcale nie tak mało niebezpiecznym,—dodała Izi.—Pomimo to jednak, uważam, że twoje skrupuły, Kari, są przesadzone; jesteśmy przecież tutaj po to, żeby się bawić.

— Czy arcyksiężna Stefania, albo księżna Walii, bawiąc tutaj w przejeździe, poszłaby na obiad do... jak pan mówił?... do Bignon'a.

— Nie,—przyznał książe.

— W takim razie i księżna Hohenberg tam nie pójdzie. — A, zadzwoniwszy, rozkazała wchodzącemu lokajowi:—Obiad... jedno nakrycie więcej.

— Poddaję się twojej woli, moja dumna królowo,—rzekł Emil.

— Nudna to królewskość, — dąsała się Izi.— Jabym z taką chęcią poszła do „*cabaret*“!... Nie wiem, co to jest, ale powietrze, którem tu oddycham, odurza mnie tak, że... jestem usposobiona do różnych szaleństw...

— Strzeż się, hrabino, powietrze tutejsze jest w istocie przesycone trucizną: „Pariziną“, która bardziej upaja i rozstraja nerwy, niż nikotyna.

Podwoje do jadalni otworzyły się:

— *Madame la princesse est servie.*

— Książe, twoje ramię.

— No, — rzekła Kari, gdy zasiedli do stołu,— czy tu nie „*gemüthlicher*“, niż w sali restauracyjnej, gdzie obok siedzi może grono kokot?

— W Paryżu nie chodzi o naszą „*Gemüthlichkeit*“,—odparła Izi.

— Hrabina ma słuszność. Wyrażenie to nie istnieje wcale w języku francuskim, nie należy też rzeczy samej szukać tutaj.

— Czy pan chce koniecznie wystawić nas na działanie tej trucizny... jak to ją pan nazwał?... pariziny?—spytała Kari.

— W małych dawkach nie jest niebezpieczna. Nie zabija... odurza tylko.

— A jakże pan ją znosi?

— Ja?... O, ja jestem już znieczulony na podobne wpływy! Gdy byłem tu po raz pierwszy, w młodym bardzo wieku, parizina odurzyła i mnie. Działo się to jeszcze za czasów cesarstwa. Bywałem częstym gościem w Tuileryach i, wolę odrazu przyznać się paniom, kochałem się szalenie w cesarzowej... mam szczególną słabość do rudawo-złotawych włosów... Jednocześnie szalałem za hrabiną Pourtalès, za Patti i za Schneider...

— Co za podzielne serce!—zaśmiała się Izi.

— A jednak dzisiaj jest znów całkowicie w posiadaniu jednej jedynej...

— Rudawo-złotowłosej, naturalnie? — spytała Izi, spoglądając na siostrę.

A księżna rzekła z całym spokojem:

— Znieczuliłeś się pan zatem na działalność trucizny.

— Tak. Dzisiaj nie działa już ona na mnie zupełnie. Stałem się inny, mianowicie starszy; i Paryż stał się inny, zwłaszcza względem mnie, a mianowicie wrogi. Jestem Niemcem i, jako taki, przedmiotem nienawiści tak zwanych patryotów. Zatruwa mi to naturalnie pobyt w tem przecudownem mieście.

— A więc dlaczego przebywasz pan tutaj, jeśli wolno zapytać?

— Może także z rudawo-złotowłosych powodów —odparła niepoprawna Izi.

— Kto wie, czy pani hrabina nie ma słuszności. Zresztą nie chce dopuścić do tego, by niedorzeczna nienawiść zamykała przedemną miejscowość, do której czuję od czasu do czasu pociąg. Paryż jest śro-

dowiskiem, temu zaprzeczyć niepodobna; posiada siłę przyciągania całego kosmopolitycznego tłumu podróżniczego, aześrodkowująca siła oddziaływa potężniej, niż odstręczające manewry „patryotów“. Chcę widzieć, jak Verdi dyryguje swoją „Aidę“; chcę być obecnym na obchodzie osiemdziesiątej rocznicy urodzin Wiktora Hugo; chcę zwiedzić najpiękniejsze wystawy, najbogatsze sklepy, najświetniejsze ulice na świecie i nie pozwalam się odstraszać manifestacyą na cześć Alzacyi i Lotaryngii, albo poezyami Pawła Dèroulède'a. Ale naturalnie takie postępowanie wzbudza gniew we mnie ze stanowiska...

— Niemca?

— Nie, człowieka. Jako Niemiec, musiałbym uznać, że żywiona względem mnie ze strony Francuzów nienawiść, jest usprawiedliwiona. Jako człowiek, odczuwam ją jak krzywdę i ubolewam nad zacofanym stanem naszej kultury, w którym nienawiść narodowa może się rodzić. Było to dobre w czasach, kiedy każdy siedział w swojej parafii; ale teraz, w naszej epoce podróży i komunikacyi, śród naszego ruchu międzynarodowego, to już nie uchodzi. W dziedzinie sztuki, sportu, literatury, rozrywek, a przedewszystkiem nauki, ludy się zbratały; pozostał tylko jeszcze jeden wrogi duch i istnieje, jako niedorzeczność anachroniczna: duch wojny, a nieuniknionym jego wynikiem jest nienawiść. Dopóki czekamy w pogotowiu na to, żeby sobie wzajemnie ucinać głowy, przyjazne ściskanie dłoni niema sensu i Déroulède ma słuszność, jeśli tego robić nie chce.

— Widać, że książe nie jesteś wojskowym, ina-

czej nie byłbyś taki przeciwny wojnie, — rzekła Kari.—Co do mnie: lubię żołnierzy.

— Księżna Gerolstein utrzymuje to samo.

— Nie w tym duchu; ale, według mego zapatrywania, jest to jednak najpiękniejszy zawód dla szlachcica. Mój syn będzie z pewnością oficerem.

— A jak polegnie w najbliższej wojnie?

— W takim razie stanie się to za wolą Boską i ku pożytkowi ojczyzny.

— Spartanka! Ale pomówmy o rzeczach obchodzących nas bliżej... Co przedsieweźmiemy jutro przed południem? Proponowałbym Salon. Znajdziecie panie tam obraz rodaka, Makart'a...

— Jutro przed południem? Niepodobna, kochany książe, mamy ważniejsze sprawy. Nieprawdaż Izi? Jutro nasz dzień miary u Félix'a.

— Co takiego?

— Książe tego nie rozumie. Sprawa tualetowa; mierzymy kostyumy na wyścigi i musimy zamówić stroje letnie, spędzimy zatem całe przedpołudnie u Félix'a... Przecież pan wie, albo raczej wcale pan nie wie, że tak nazywa się teraz najsławniejszy krawiec.

— Wybaczy pani, wiem o tem bardzo dobrze. Niepodobna dzisiaj przeczytać sprawozdań teatralnych, by się nie dowiedzieć, kto jest twórcą tualet bohaterki; wiem zatem doskonale, że słynny mąż, dzierżący obecnie berło igły, nazywa się Félix. Worth ma już teraz wyłącznie klientelę cudzoziemską, przeważnie Amerykanki; paryskie wielkie artystki, a za ich przykładem i damy wielkiego świata

ubierają się u Félix'a i Lafferière'a. Jak panie widzą, jestem *„au courant“*, jak tutaj mówią i znam nawet nazwiska waszych wielkich krawców.

— Oburza mnie ich niesłychane zuchwalstwo: klientki muszą chodzić do nich mierzyć suknie.

— O, to ma swój urok. Panie spotykają się tam, „potinują“ ze sobą, jeśli należą do jednego świata i rzucają ciekawe spojrzenia na te, które są ze świata innego. Księżna i aktorka mierzą się wzajemnie badawczym wzrokiem, usiłują naśladować jedna drugą, co sprawia, że za następnem spotkaniem są jakby zamienione. Aktorka wygląda, jak księżna, taki surowy jest tym razem jej strój i obejście, gdy w księżnej dokonała się odwrotna przemiana. Przy tem powtórnem spotkaniu obie ponownie mierzą się wzrokiem i teraz księżna postanawia być jeszcze surowszą i wynioślejszą niż poprzednio, by się stać do tamtej podobną, gdy tamta znów zamawia niezwłocznie najjaskrawszą tualetę kokoty, aby ją brano za księżnę.

Obiad skończył się niebawem. Usługa była taka szybka, — *maître d'hôtel* i dwóch lokajów dla trojga biesiadników, — że *menu*, z pięciu dań złożone, załatwione zostało w przeciągu pół godziny. Było jeszcze za wcześnie do teatru, operetka miała się zacząć dopiero o dziewiątej.

Wyszli na balkon, zkąd roztaczał się widok na bulwar i ulicę de la Paix. Na dole iskrzyło się i roiło od ludzi, powozów i światła. Bulwar tonął w blasku światła elektrycznego, a ulica de la Paix płonęła od gazu wystaw sklepowych. Tłoczenie się

przechodniów, szybowanie latarni pojazdowych robiło wrażenie, jakgdyby wszyscy dążyli, bez pamięci, ku używaniu i rozkoszy; albowiem w tej dzielnicy bogactwa i zbytku, o tej godzinie obiadów i widowisk teatralnych, wydaje się, że każdy przechodzień i każdy jadący pragnie dotrzeć jaknajprędzej do swego celu,—to jest do zabawy.

Powietrze było ciepłe, a woń Paryża, — każde miasto ma swój odrębny zapach, — unosiła się ze wzmożoną siłą z panującego wiru. Księżna Kari oparła się o baryerę.

— Co za życie, jaki ruch!—rzekła.

Emil milczał.

— O czem pan myśli?

— Boże mój, o niczem, oddycham Paryżem.

— Czy ową trucizną?

— Nie, ta unosi się z gazet i sztuk teatralnych, z rozmów w salonach i klubach, ale tutaj nad tym ruchem ulicznym panuje inna, pulsująca życiem atmosfera... Wszak i w innych wielkich miastach dzieje się tak samo; i tam, podobnie jak tutaj, jadą ludzie oświetlonemi ulicami do teatru, ale człowiekowi nie zdaje się, jak tutaj, że znajduje się śród odmętu rzeczywistych romansów.

— Masz pan słuszność i ja doznałam podobnego wrażenia; zkąd to może pochodzić?

— Wypływa to z naszych przyzwyczajeń literackich. Czytaliśmy tyle książek, widzieliśmy tyle sztuk, których treść rozegrywa się w Paryżu, że skoro przeniesiemy się na widownię znanych wypadków, wszystkie wspomnienia zaczynają się odzywać w na-

szym mózgu, a ten szmer intryg miłosnych i zdrady małżeńskiej, oraz innych przygód, wywołuje pewne usposobienie, które właśnie i mnie ogarnęło, gdym pani odpowiedział: „Oddycham Paryżem.“

— Kochany książe jesteś dzisiaj mniej uprzejmym, niż zwykle, — zauważyła Izi. — W naszej obecności, czy to na bulwarze, czy na stepie powinienbyś oddychać tylko tą naszą obecnością.

— To nie mój rodzaj galanteryi wciskać do każdego zdania komplement, kosztem prawdy. Mam, Bogu dzięki, dosyć sposobności mówienia paniom rzeczy pochlebnych z całą szczerością.

— A czy to nie było czasem powiedziane kosztem prawdy?

— Czy możnaby wogóle prowadzić jeszcze jakąkolwiek rozmowę, gdyby prawda nie miała nigdy ponieść szwanku?

— Zna pan margrabinę de Marcy? — spytała znienacka Kari.

— Robertynę de Marcy? Znam. Już podczas mego pierwszego pobytu tutaj byłem do jej domu wprowadzony, wówczas żył jeszcze mąż... Tym razem nie złożyłem dotąd wizyty. Człowiek ma tylu znajomych w tym Paryżu, że, bawiąc krótko, niepodobna ich wszystkich odwiedzić. Zresztą nic mnie nie pociąga do salonu pani Marcy. Nie jest on typowy, ani polityczny, ani literacki, ani pobożny, ani rozpustny, nie jest nawet nudny. Bo wszak panie wiedzą, że w „Świecie nudów“, filozofowie akademicy wykładają swoje zasady, gdy u pani Marcy popi-

sują się drugorzędne śpiewaczki i mierni fortepianiści. Towarzystwo, jakie się tam zbiera, utworzone jest z różnorodnych żywiołów: legitymiści, którzy odczuwają brak niepokalanie białego sztandaru; finansiści, którzy czują się onieśmieleni obecnością książąt; cudzoziemcy, z czterech stron świata, którzy nikog o dookoła nie znają... nie, dom pani Marcy mnie nie pociąga.

— A jakież domy podobają się panu?

— Zaraz pani powiem: Naprzykład salon pani Edmond Adam, gdzie panuje specyalna atmosfera trzeciej rzeczypospolitej; salon Wiktora Hugo, Buloz'a, Arsène'a Houssaye'a, Dumas'a syna. Albo inny, w którym panuje odmienna atmosfera, salon du Bac, gdzie książęca, siwowłosa gospodyni domu przyjmuje gości z całą godnością i wdziękiem damy z epoki *rococo*; gdzie urządzenia pokojów, nazwiska meldowanych, ton rozmów, maniery, pojęcia, słowem wszystko, jest pozostałością z *ancien régime*. Istnieje jeszcze inny zupełnie salon słynnej grzesznicy, która w swym pałacu na *avenue* Friedland gromadzi najświetniejszych przedstawicieli i przedstawicielki rozbawionego hulaszczego Paryża.

— I pan ma czas na bywanie w tych wszystkich salonach? — spytała księżna. — I dopuszczają pana wszędzie? Dziwi mnie to właściwie. Przecież książę nie jesteś uczonym, nie masz więc potrzeby obracać się w tym urzędowo nudnym świecie, nie jesteś legitymistą, a nadto jesteś Niemcem, jakżeż owa księżna *rococo* może cię zapraszać? Nie jesteś atei-

stą republikaninem, cóż za rolę grasz zatem u pani Julii Lambert?... a co się tyczy salonu grzesznicy...

— Przekroczyłem już oddawna fazę tych rozkoszy życia, chciała pani powiedzieć. Mówiłem wogóle o latach dawniejszych. Tym razem pora taka spóźniona, że niejeden z wymienionych salonów już zamknięty, a prócz tego panie są tutaj; ulubionym moim salonem jest zatem ten pokój narożny w hotelu „*Continental*“; to też, jak panie widzą, wrosłem tutaj. Nadto musiały panie zauważyć, że towarzyszę im wszędzie: do wszystkich ambasad, na przyjęcia do Elizeum, jestem nawet gotów, jeśli panie zamierzają tam pójść w przyszłą środę, zmieszać się z pozbawionym charakteru tłumem w pałacu Marcy...

— Ale teraz czas jechać do teatru! — przerwała Izi.

W kwadrans później siostry wchodziły z towarzyszem do loży w „*Renaissance*“.

— Co za bonbonierka! — zawołała Izi, oglądając się po zapełnionej, jasno oświetlonej, zalotnej sali.

Świeże złocenia, malowidła i materye, ładne tualety i uśmiechnięte twarze w lożach; duet Jeanne Granier z Vauthier'em, burzliwie oklaskiwany i powtarzany na żądanie na scenie; skoczna muzyka, — tworzyły wesołą całość, tak, że nawet zimną Kari ogarnęło uczucie zadowolenia i uśmiechnęła się do księcia.

— Dobry miałeś pomysł, kochany książe, przyprowadzając nas tutaj.

Kurtyna zapadła. Wywołano trzykrotnie Jeanne Granier podano jej z orkiestry ozdobiony szarfą olbrzymi bukiet, który przyjęła z błogim uśmiechem i owym wszystkim *divom* właściwym, ruchem, jakby mówiącym wyraźnie: „Ach, czyż ja na to zasługuję!“

— Ma pan znajomych w teatrze? — spytała Kari. — Mógłby mi pan naprzykład powiedzieć, kto jest ta prześliczna osoba naprzeciwko nas?

— To owa grzesznica, o której salonie opowiadałem paniom przed chwilą.

Księżna odwróciła z niechęcią głowę i zamilkła.

— Ach, to ona... jak się nazywa? — spytała Izi skwapliwie.

— Niech pani hrabina nie będzie taka ciekawa. Zapewniam panią, że ciekawość dam z wielkiego świata jest jednym z tryumfów dam półświatka... niechże się pani do tego tryumfu nie przyczynia.

— Występujesz pan dzisiaj w roli niezwykle surowego moralisty. Ale pytam się pana, jakże nie mamy być ciekawe, skoro wszędzie spotykamy te panie piękniejsze, strojniejsze i bardziej niż my, otoczone? Spojrzyj pan, owa bezimienna naprzeciwko siedzi w loży, jak my, ma koronki i brylanty, jakich my może nie posiadamy; wszystkie lornetki zwrócone są na nią, otoczona jest pięciu wytwornymi młodymi dżentelmenami...

— Gdy pani ma tylko jednego podstarzałego rycerza...

— W Wiedniu nie mamy powodu do takiej ciekawości. Tam małe damy bledną wobec wielkich.

tam młodzież nie pokazuje się przy nich tak publicznie; nie posiadają powozów z końmi piękniejszemi od naszych; pałaców z książęcem urządzeniem...

— Masz słuszność, hrabino, Paryż jest rajem dla grzesznic.

— Już znów to określenie! Tak nazwałby przecież te panie kaznodzieja. Dlaczego nie mówisz pan poprostu: kokoty?

— Codziennie wynajdują nowe określenie dla starego pojęcia; nie chcąc zatem śledzić ciągle tych wybryków językowych i mówić dziś „kokota“, jutro „*belle petite*“, albo używać wyrażeń takich przestarzałych jak „loretka“ lub melodramatycznych, jak „kurtyzana“, wybrałem sobie zatrącający o klasycyzm wyraz grzesznica. Ma on pewien odcień poetyczno-magdalenowy, i ztąd brzmi potępiająco ze stanowiska moralności; jednocześnie zaś jest świadectwem cnoty dla mówiącego i, jeśli się mówi do kobiet ze świata pani, hołdem cnoty dla tej, z którą się narazie rozmawia.

— Jakgdybyśmy były bez grzechu...

— Nasza księżna Kari, tu oto, jest bez grzechu... niestety!

— Mówicie o mnie? — spytała Kari, odwracając się. — Nie zwracałam doprawdy uwagi na waszą rozmowę. Powiedz mi pan, czy to nie książe Abchazyi, tam w pierwszym rzędzie krzeseł? Zaledwie go można poznać we fraku i białym krawacie... Tak, to on... poznał nas również.

W chwilę później książe Aslan wszedł do loży.

Zamieniono zwykłe, podczas spotkania w podróży, zapytania: „I pan tutaj?“ „Od kiedy?“ „Na jak długo?“ „Dokąd potem? i t. p.

— Sądziłem, żeś pan prosto z Wiednia pojechał do ojczyzny, aby tam wprowadzić w czyn owe rozmaite plany melioracyjne,—rzekł książe Emil.

— Taki też miałem zamiar; ale nieprzewidziany przypadek powołał mnie tutaj i powrót mój odroczony został do roku przyszłego. Zresztą im dłużej pozostaję w Europie, tem więcej zbieram pożytecznych doświadczeń; odbywam teraz studya nad przenoszeniem siły przy pomocy elektryczności... bo muszą panie wiedzieć, że okropnie lubię studyować i pracować... Każdy człowiek w mojem położeniu, ma ciężkie obowiązki do spełnienia, musi wykonać przypadającą nań część pracy... Rozrywki są dobre dla młodego wieku i dla głów lekkomyślnych, gdy się wszakże poznało czczość i płytkość wiru światowego, wówczas pociągają zupełnie inne zadania...

— I pan nam prawisz takie kazanie podczas antraktu „*Petite mariée*?“—rzekł Emil.—Gdyby pana przypadkowo nie było tutaj, musielibyśmy się rumienić potem wobec pana za naszą płytkość i chęć używania.

— Książę bywa prawdopodobnie często w Paryżu?—spytała Kari.

— O, jestem tutaj właściwie, jakby w domu. Mam tu własne mieszkanie. Spodziewam się, że zobaczę księcia u siebie... Pola Elizejskie 115. Szanujący się człowiek powinien właściwie mieć w Paryżu

swoje mieszkanie, ostatecznie zawsze się tutaj wraca; nigdzie człowiek nie czuje się tak bardzo u siebie...

— Zdawało mi się, że stolica rzeczypospolitej stała się panu nienawistna i przyprawia pana o mdłości,—zauważył Emil, który miał niewygodną dla gadułów i blagierów pamięć.

Książę Aslan zapomniał oddawna, co mówił w Wiedniu i nie wiedział, co miały znaczyć słowa Emila.

— Nie rozumiem cię, kochany książe, jakkolwiek ze stanowiska Niemca zapatrywanie twoje jest może usprawiedliwione... ale my, ze Wschodu, czujemy się wszyscy w jednym zakątku serca naszego Paryżanami... Zamierzam kupić tutaj pałac, a jeśli nie znajdę nic według mego smaku, każę sobie wybudować nowy. Chcę dom urządzić na sposób wschodni... bez haremu, naturalnie... ale nie mogę przecież dopuścić, by siedziba księcia azyatyckiego wyglądała, jak mieszkanie fabrykanta pończoch, który się wycofał z interesu; pewien „*cachet*“ jest nieodzowny; czy państwo nie podzielają mego zdania?...

— Podjął pan bardzo trudne podwójne zadanie,—rzekł Emil.— Chcesz pan europeizować Abchazyę i założyć w Paryżu małą osadę pod znakiem półksiężyca, kto pana odwiedzi w ojczyźnie, ma znaleźć najbardziej wyrafinowaną kulturę paryską, a pałac pański na Polach Elizejskich ma gości przenosić na Wschód... Taka zamiana barw miejscowych, to zresztą już nic nowego; nie spotkałem nigdzie bardziej bulwarowych warunków, niż na dworze kedywa, a nigdzie nie kokietują tak dalece

kobiercami perskiemi i zakrzywionemi szablami damasceńskiemi, jak w tutejszych *fumoir'ach*... Z biegiem czasu musi nastąpić ogólna fuzya; w końcu cała powierzchnia ziemi będzie miała jeden i ten sam charakter.

— Czy będzie pan na wyścigach w przyszłym tygodniu?—spytała Aslana księżna.

— Mój koń biega nawet... anglik... zdobywał już niejednokrotnie nagrody; ale tym razem mam przeczucie, że przegram, zaryzykowałem wielkie sumy... księżno, módl się za mnie!

— Jakgdyby niebo mieszało się w sprawy turfowe!—rzekła Kari z wyrzutem.

— Dlaczego nie? — spytał książe Emil. — Jeśli niebo może się troszczyć o partye gry prochowej wygrywane i przegrywane na polach bitwy, to...

— Mój książę,—przerwała Izi,—mam cię w podejrzeniu, że przejąłeś się nieco atmosferą „świata nudów“; do wszystkiego, co się mówi, przyczepiasz tryskające salomonową mądrością uwagi...

Orkiestra zaczęła grać, książe Aslan pożegnał panie, zapowiedziawszy, iż odwiedzi je nazajutrz w hotelu „*Continental*.“

VIII.

— A! witajże mi, witaj! — zawołał Emil radośnie na widok wchodzącego niespodzianie Wetterstein'a.—Zkądże to?

— Z Londynu. Przyjechałem dziś rano do Paryża i przedewszystkiem przychodzę do ciebie.

— Sądziłem, że już wcale nie przyjedziesz, teraz po „*Grand-Prix*“... Dlaczego nie przybyłeś wcześniej? Niebawem wszyscy opuszczą Paryż, ja sam wyjeżdżam za kilka dni.

— Wszak boginie są jeszcze tutaj?...

— Mówisz o Hohenberg'owej! i Thunen'owej? Są jeszcze, ale już w przyszłym tygodniu zamierzają jechać do Trouville.

— Gdzie mieszkają? chcę dzisiaj jeszcze...

— Jak na narzeczonego, zbyt ci pilno ujrzeć dawny ideał... Panie mieszkają w hotelu „*Continental*.“ Opowiedzże, co cię zatrzymało w Londynie?

— Ach, mój kochany, wir „sezonu“ tak mnie porwał, że niepodobna było się wydostać. Wieści o moich zaręczynach nie rozpowszechniałem; uchodziłem za *marrying man* i trudno wypowiedzieć, jak dalece byłem poszukiwany na wszystkich balach, koncertach, wystawach kwiatów, wycieczkach i piknikach. Nie mogłem też opuścić ani jednego przyjęcia

dworskiego w Marlborough-house; a zaproszeń, jakie otrzymałem od różnych przyjaciół i przyjaciółek, by ich na wsi odwiedzić, zliczyć niepodobna; chcąc wszystkim zadośćuczynić, musiałbym jakie dwadzieścia pięć lat spędzić na wizytach. Wzamian, gdyby wszyscy, których zaprosiłem, przyjechali do mnie na polowanie na jesieni, zdaje mi się, że wszystkie moje zamki razem nie zdołałyby ich pomieścić. Zapewniam cię, że kto chce poznać prawdziwy zbytek i rozkosze życia, powinien jechać do Anglii; tam znajdzie wszystko, co stanowi świetność życia światowego: bogactwo, sport, urodę kobiet, flirt, znaczenie tytułów—w dziesięćkroć spotęgowane. Gdybym już nie był narzeczonym, nie wiem, czy nie dostałbym się do niewoli w Anglii, albowiem najświetniejszą *peeress* z całego kraju, której ręki zazdrościłaby mi cała Wielka Brytania i Indye, proponowała mi jej własna ciotka na żonę. Wyobraź sobie: *countess in her own right*, lat dwadzieścia jeden, posiadaczka historycznego nazwiska i zamków historycznych; otoczona przepychem panującej księżnej, a przytem śliczna, jak anioł, i sprytna, jak szatanek...

— Mówisz o lady Hermionie Coverland?

— Jakto, znasz ją?

— Tak, i poznałem ją po opisie. Była ubiegłej zimy w Nizzy, dokąd popłynęła na własnym jachcie. Osoba piękna i olśniewająca, ale, zdaje mi się, że twój wybór lepszy. Z blasku lady Coverland nicby ci się nie dostało; ona jest wprawdzie małą królową, a i ty, jako Wetterstein, jesteś małym królem, i korzystniej będzie, gdy ozdobisz swoją koroną

nieprzywykłe jeszcze do korony czoło. Dumna Hermiona nie umiałaby ocenić zaszczytu zostania księżną Wetterstein, a ty nie masz potrzeby łączyć się z żadną *countess in her own right,* by podnieść znaczenie własnego tytułu. Nadto, zdaje mi się, że taka bogata, samodzielna dziewczyna, traktowana przez otoczenie, jak monarchini, nie byłaby przyjemną żoną...

— O, nie żałuję bynajmniej mego wyboru! Piękna lady nie mogła zresztą wywrzeć na mnie wrażenia, gdyż moje serce już zajęte...

— Nareszcie przyznajesz się, żeś zakochany w narzeczonej...

— W narzeczonej? Tak... naturalnie! Ale teraz idę do hotelu „*Continental*“... Wieczorem pójdziemy gdziekolwiek razem... Czy jesteś zajęty?

— Tak, przyrzekłem „boginiom“, że spotkam się z niemi u margrabiny de Marcy. Jeśli zechcesz, to cię tam wprowadzę.

— Bez uprzedniej wizyty?

— To zbyteczne. Margrabina będzie bardzo rada, że przyprowadzę jej mego przyjaciela... O godzinie dziesiątej przyjdę po ciebie. Gdzie mieszkasz.

— W *Grand-Hôtel'u.*

— Dobrze!.

Wetterstein nie zastał pań i zostawił kartę. Poczem pojechał do Lasku Bulońskiego, w nadziei, że tam spotka siostry, ale i tu doznał rozczarowania. Kari i Izi były zajęte sprawunkami, a gdy za powro-

tem do hotelu znalazły między różnemi innemi kartami i kartę Wetterstein'a, serce Izi zabiło radośnie.

Nie spodziewała się już ujrzeć Hansa w Paryżu, skoro nie przybył na *„Grand-Prix"*. Owo „do widzenia", rzucone pamiętnego wieczoru w pałacu Hohenberg'ów, nie pochodziło widocznie tak głęboko z jego serca, jak głęboko do serca jej przeniknęło; albowiem, gdy ona w Paryżu rzucała na wszystkie strony spojrzenia, w nadziei, że go zobaczy, on dobrowolnie nie przybywał. Doznała zawodu. „Tak lepiej", mówił rozsądek; niemniej jednak był to zawód. Kobieta nie może znieść, gdy mężczyzna, który utrzymuje, że ją kocha, ośmiela się zaprzeczać tej miłości czynami. Izi nie chciała uszczęśliwić Hansa,—o nie!—ale rana jego powinna była zabliźniać się powoli, bardzo powoli... i pragnęła widzieć ją jeszcze krwawiącą nieco przez czas pewien. „A więc jednak przyjechał,"—mówił jej kawałek tektury, który trzymała w dłoni; jaka szkoda, że nie było jej w domu, — jutro nie wyjdzie... A czy nie byłoby lepiej unikać go? Po co? Wszak obracali się w jednej sferze i musieli się ciągle spotykać; główna rzecz pozostać zimną,—nie dawać mu żadnej nadziei... Jest narzeczonym,—wszak to samo już wystarcza, by dodać siły. „Narzeczony, narzeczony"—powtarzała sobie; mimo to jednak, cieszyła ją trzymana w ręku karta.

Było już pół do jedenastej, gdy siostry pojechały do pałacu Marcy, zbudowanego *entre cour et jardin*. Pojazdy przybyłych gości stały w dziedzińcu na prawo i na lewo, a zajeżdżająca karetka potoczyła się

pod oszklony dach przedsionka. Kari i Izi wysiadły.

W jasno oświetlonym, ozdobionym zwierciadłami przedsionku stało sześciu upudrowanych lokajów w liberyi galowej. Dwóch pośpieszyło zdjąć przybyłym paniom płaszcze, gdy trzeci otworzył drzwi do sali i wywołał ich nazwiska.

Zanim weszły, rzuciły nieodzowne spojrzenie w zwierciadło, które im odesłało ponętny wyrok: niepokalana uroda we wzorowej tualecie. Obie miały powłóczyste, czarne koronkowe suknie. Kari zdobna w turkusy, Izi w korale. Każda z nich trzymała w ręku bukiet,—jedna z niebieskich, druga z ponsowych kwiatów. Gdy szły przez salon, doszedł ich uszu ten szczególny szept,—cichy szmer podziwu,—jaki towarzyszy zazwyczaj przejściu pięknych kobiet.

Robertyna de Marcy powitała siostry kilku uprzejmemi słowy, lecz wnet zająć się musiała innymi, nowoprzybyłymi gośćmi.

Salon był prawie zapełniony, liczba osób wszakże była małą w porównaniu z tłokiem, jaki tu panował w sezonie zimowym. Sześć pokojów rzędem jaśniało blaskiem świateł, ale dzisiaj całe towarzystwo pomieściło się w pierwszym salonie.

Goście siedzieli i stali grupami. Dwaj panowie zbliżyli się do sióstr,—Emil i Wetterstein. Izi rzekła z najswobodniejszą miną:

— Nie spodziewałam się spotkać tu księcia.

A Kari:

— Zastałyśmy dziś w hotelu kartę księcia; czem się to dzieje, że pan przyjeżdżasz po wyścigach?

Wszak Paryż teraz nie ma już dla cudzoziemców żadnej racyi bytu...

Zbliżyła się gospodyni domu.

— Czy mogę państwa prosić, byście przeszli do sąsiedniego pokoju? Panna X. będzie śpiewała... Pani Carvalho ma, niestety, chrypkę...

Towarzystwo udało się do przyległej sali, gdzie urządzona była estrada, przed którą stały rzędami fotele. Goście zajęli miejsca, a byli stosunkowo tak nieliczni, że nie zdołali sali zapełnić nawet w połowie. Nie wszyscy też stali się posłusznymi wezwaniu gospodyni; grono osób pozostało w pierwszym salonie,—deputowani, którzy nie chcieli przerwać wymiany opinii politycznych, dla słuchania aryi operowej; ludzie, nie lubiący muzyki i mówiący głośno, iż te popisy salonowe były dla nich „*assomants*“.

Wetterstein zajął miejsce obok Izi; ale, oczywiście, dopóki *diva* śpiewała, niewolno było wymówić słowa.

Po skończonej aryi rozległy się niezbyt liczne ciche brawa, albowiem zachwyt w salonach nie bywa zbyt głośny.

Zaledwie ustąpiła śpiewaczka, ukazał się pan w czarnym fraku i zabierał się do wypowiedzenia jakiegoś wiersza.

— Uraczyłabym państwa chętnie Coquelin'em,—mówiła Robertyna cicho do swoich gości,—ale niepodobna było dostać go na dzisiaj... Udało mi się natomiast pozyskać pana X. z Odeonu... świetny *diseur*; przekonacie się sami.

Młodzieniec oddeklamował najpierw *„Le hareng sour“* Halévy'ego. Jest to historya wysuszonego, wysuszonego, wysuszonego śledzia, który na długiej, długiej, długiej nitce zostaje przerzucony przez nagi, nagi, nagi mur. Wiersz kończy się wyznaniem, że został napisany dla zgniewania

...ludzi poważnych, poważnych, poważnych
I zabawienia dzieci małych, małych, małych.

Ale publiczność pozostała zimna, zimna, zimna.

— Nareszcie... nareszcie widzę panią znowu! Niech mi pani pozwoli opowiedzieć...—odezwał się Wetterstein.

Wtem deklamator zaczął nowy utwór. Gdy zaś skończył, śpiewaczka dała się nakłonić do wykonania jeszcze jednej aryi: *recitativo*, *adagio* i *cabaletta* z waryacyami.

Naraz Izi uczuła dotknięcie wachlarza na ramieniu:

— Dobry wieczór, moje kochanie!—Była to pani Orsaki.—Nareszcie przedostałam się do was. Cieszę się bardzo, że was tu spotykam, albowiem mam pewien plan, który możemy zaraz bliżej omówić...

— Cóż to za plan?—spytała księżna Kari.

— Musimy urządzić piknik. O tej porze wieczory, jak dzisiejszy, są już tylko blademi widmami zimowemi i nie sprawiają żadnej przyjemności. Prawdziwa rozkosz teraz na świeżem powietrzu...

— Zdaje mi się, że niezadługo wszyscy będziemy mieli dosyć świeżego powierza... wszak za kilka dni rozjeżdżamy się w prawo i w lewo, na wieś lub nad morze...

— Właśnie; rozlatujemy się w różne strony, należy zatem zebrać się raz jeszcze i spędzić wesoły dzień. Chcę, żeby to była *une fête énorme*...

Pani Orsaki zaprosiła i margrabinę, by uczestniczyła w pikniku, oraz obu książąt, w których domyśliła się odrazu *cavalier'ów serventi* sióstr; Emil i Wetterstein zaproszenie przyjęli.

— Przyprowadzę ze sobą księcia Abchazyi.—przyrzekała Zofia Orsaki,—i oryginalnego Amerykanina, zachwycającego człowieka.

— Ależ to będzie najkosmopolityczniejszy z pikników, jaki można sobie wyobrazić!—zawołał Emil.—Europa, Azya i Ameryka mają być reprezentowane... Czy niema kto w zapasie Afrykańczyka?...

Postanowiono, że nazajutrz, na *five o'clock'u* w hotelu „*Continental*", oznaczony będzie dzień i cel wycieczki.

Estradę zajęto ponownie. Tym razem był to fortepianista, który jednym tchem wykonał sześć drobnych utworów: gawota, nokturn, kaprys, rondo, walca i *rêverie.* Wetterstein usiłował kilkakrotnie nawiązać cichą rozmowę z sąsiadką, ale ona, znakiem wachlarza, nakazała mu spokój.

Gdy wyczerpały się artystyczne rozkosze wieczoru, towarzystwo opuściło galeryę i udało się z powrotem do pierwszego salonu, a ztamtąd do przyległej jadalni. Wielki stół w środku pokoju i bufet.

zastawione były pasztetami, cukrami, owocami, lodami i t. p. Każdy brał sobie sam ze stosu talerzy jeden i obsługiwał się według smaku. Na bocznych stolikach lokaje nalewali wino i herbatę. Panowie przynosili paniom, stosownie do ich życzenia, filiżankę herbaty lub czarkę lodów. Dzisiaj mogli wszyscy wygodnie zasiąść dokoła stołu, ale na środach zimowych sztuką nieraz było zjeść *sandwich*, stojąc.

— Książę,—rzekła Kari, czerpiąc z czarki lód ananasowy,—nudzę się śmiertelnie!

— Nie dziwię się wcale; wszyscy wyglądają tutaj, jakgdyby spełniali ciężki obowiązek — odparł Emil.

Izi nie nudziła się. Obecność Wetterstein'a, jakkolwiek hrabina umyślnie unikała mówienia z nim, wciągając ciągle innych do rozmowy, wystarczyła, by wieczór ten stał się dla niej zajmującym i ponętnym.

IX.

„Wczoraj przybyłem szczęśliwie do Paryża Nie wiem, jak długo tu zostanę. Myślą ciągle przy Gertrudzie

Wetterstein „Grand-Hotel“.

Depeszę powyższą oddano na zamku Stockau, w Czechach, gdzie hrabina Simmersburg bawiła od dni kilku z wnuczką. W Wiedniu upał zaczynał już bardzo dokuczać, towarzystwo opuszczało miasto, rozjeżdżając się we wszystkie strony; cała wyprawa Gertrudy była już zamówiona; brakło zatem powodu do dłuższego pobytu w stolicy. Zamierzona podróż do Karslbadu została zaniechana, albowiem główny do niej powód,—szukanie partyi,—przestał już teraz istnieć.

Gertruda rada była niesłychanie samotności wiejskiej; zdawało jej się, że tam uświadomi sobie lepiej własne szczęście, że to zbliżenie się z przyrodą zespoli ją więcej z uczuciem miłości.

I tak się stało. Od czasu zaręczyn Gertruda kochała narzeczonego bardziej w chwilach, gdy nie był przy niej, niż w takich, kiedy jego obecność oddziaływała na nią szczególnie onieśmielająco i otrzeźwiająco; a teraz, kiedy był od niej o tyle mil oddalony, kiedy tylko jego wizerunek towarzyszył jej na wszystkich przechadzkach po polach i łąkach, teraz stawał jej się z każdym dniem droższym. Nic nie wprawia zakochanych w taką egzaltacyę, jak obcowanie z naturą. Mrok lasu, woń róż, migotanie gwiazd i szmer strumyka,—wszystko prawi sercu o miłości. Może pochodzi to ztąd, że wszak cała natura jest wielkim warsztatem miłości, gdzie wszystko dokoła szuka się i łączy pod wpływem siły twórczej, gdzie strumyk wpada w objęcia fali rzecznej, gdzie w płodnej ziemi dojrzewa zarodek owocu, gdzie ptaki gniazda budują, a motyle rozdają pocałunki.

— Może w tem tkwi przyczyna, a może też ta spotęgowana wrażeniami, jakie daje natura, egzaltacya, to wina poetów. Liryka wszystkich krajów tak często splata pojęcia miłości i tęsknoty z kwiatami i lasami, z szumiącą falą i drżącemi promieniami księżyca, że te ostatnie nie mogą oddziaływać na duszę, nie pobudzając pierwszych.

Gertruda z babką były same w zamku; sąsiedzi odwiedzali je rzadko, młoda dziewczyna zatem pozostawiona była całkowicie swoim myślom i uczuciom. Obfita biblioteka stała do jej rozporządzenia. Teraz, kiedy była narzeczoną, babka nie uważała już za potrzebne bronić jej czytania romansów i Gertruda miała wolny wstęp do księgozbioru. W dni dżdżyste spędzała tam długie godziny; gdy przy pięknej pogodzie szła na ulubione miejsce do ogrodu lub lasu, zabierała zawsze ze sobą książkę. Czytała poezye, nowelle, romanse; a wszędzie: miłość, miłość, miłość. Wszakże i jej własne życie rozpościerało się przed nią niby wspaniały poemat, niby świetny romans. I ona też kochała i była kochaną, a u wejścia w życie spotkał ją los taki, jaki bohaterkom książkowym w najrzadszych wypadkach, i to dopiero po długich walkach, przypada w udziale.

Wizerunek ukochanego nosiła w medalionie: jakże często zdejmowała łańcuszek ze szyi, otwierała złotą pokrywkę i zatapiała spojrzenie w pięknych rysach! Z każdym dniem była więcej rozkochana w wizerunku. Ot, pod wąskim, zakręconym pod górę wąsem, odnalazła kącik ust, który dla niej wyobrażał świat cały. I ona będzie kiedyś mogła przyci-

snąć usta do tego kącika i pocałunkami wypowiedzieć jak bardzo, jak bardzo Hansa kocha... A potem, gdy jego silne ramię kibić jej otoczy, gdy niebo i ziemia zacznie jej znikać z przed oczu... czy nadmiar rozkoszy nie zabije jej wtedy?

Gertruda nauczyła się bardzo wiele z pochłoniętych książek; dostali się też do jej rąk nowocześni realiści-francuscy i znajdowała się w stanie wiedzącej niewinności,—niewinności o tyle, że nie zakosztowała jeszcze niczego o czem wiedziała. Stan ten przynosi ze sobą w tysiąckroć spotęgowane wyobrażenia o uciechach miłości; uciechach, których wedle słów poety, „zazdroszczą sami bogowie“. Gertruda przypominała sobie słodkie upojenie, jakiego doznała pod wpływem pierwszego spojrzenia miłosnego, które przeniknęło jej duszę, tkliwość, jaką wezbrało jej serce, gdy Hans ukradkiem dłoń jej uścisnął, ogień, jaki przebiegł po jej żyłach, gdy raz przy stole pochyliła się ku niemu i dotknęła ramieniem jego ręki —a wszak te wszystkie odłamki miłosnego szczęścia są wobec jego pełni tem (tak oblicza niewinna wiedząca), czem są próbne tony strojonych skrzypiec do grzmiącej fanfary radosnej pełnej orkiestry. Jakież to wszakże fałszywe obliczenie! Młode serce, to skrzypce, które rozbrzmiewają takiemi słodkiemi tonami, gdy pierwsza miłość usiłuje je zcicha nastroić, że żaden późniejszy akord nie da się już z tym czarodziejskim dźwiękiem porównać.

Listy Wetterstein'a nie należały do tych, które podsycają ogień miłości, były to bowiem tylko krótkie, rzadkie bileciki, zawierające obojętne raporty

z podróży; co najwyżej czułe słówko w tytule lub zdaniu końcowem; ale to wystarczało, by uszczęśliwić Gertrudę. Zazwyczaj nadsyłał tylko depesze. Ale wszak ją uprzedził, że jest nieprzyjacielem pisania; namiętność do długich listów, to właściwość pensyonarek; on zaś był wyższym nad tę namiętność. Gertruda również pisywała do narzeczonego króciutkie, suche listy. Raz dlatego, że musiała je dawać do czytania babce, co już samo wystarczyłoby do zatamowania wszelkich wylewów serdecznych,—albowiem naraziłaby się na ciągłe słuchanie znienawidzonego frazesu: „Trudi, to nie wypada“. Lecz pominąwszy już ten wzgląd, duma nie pozwalała jej na pisanie listów dłuższych i serdeczniejszych.

Potrzebie przelania nadmiaru uczuć na papier czyniła młoda dziewczyna zadość tem, że na każdy bilecik narzeczonego, na każdy telegram, odpowiadała długim listem; nie odsyłała go wszakże, lecz wpisywała do dziennika, który Hans miał przeczytać, gdy ona będzie już jego żoną. „Musi przecież dowiedzieć się“, — mówiła sobie, — „jak ja go kocham.“

Na przytoczoną powyżej depeszę z Paryża, Gertruda odpowiedziała następującym, uznanym przez babkę, liścikiem:

„Mój kochany Hansie!

Z radością dowiedziałam się z dzisiejszego telegramu, że stanąłeś szczęśliwie u drugiego celu po-

dróży. Życzę Ci, by pobyt w Paryżu upłynął jaknajprzyjemniej. Co do mnie, nie mogę Ci donieść nic nowego; prowadzimy, babka i ja, życie bardzo spokojne i samotne. Jesteśmy obie zdrowe i rozkoszujemy się orzeźwiającem powietrzem wiejskiem. Czas Twego powrotu już niedaleki; mam nadzieję, że nam opowiesz dużo zajmujących rzeczy ze swego pobytu na obczyźnie. Nie daj mi zbyt długo czekać na list lub depeszę i przyjmij serdeczne pozdrowienia od kochającej Cię narzeczonej.

Gertrudy."

Gdy posłaniec pocztowy odnosił ten liścik, jakby przepisany ze „wzorów korespondencyi", Gertruda już zajęta była wpisywaniem następujących słów do swego zeszytu:

„Hansie, mój boski, mój królewski—mój Hansie! —Twoja depesza leży przedemną. Ach, o ileż milszemi są mi Twoje rzadkie listy, - wówczas wiem bowiem że Twoja dłoń dotknęła owego arkusika papieru, że sam wszystko napisałeś i kocham każdą literę tego pisma,—gdy tymczasem ten drukowany telegram nie pochodzi od Ciebie,—tylko nazwisko podpisane u dołu uśmiecha się do mnie: „Wetterstein",— a więc jednak to od Ciebie, — całuję to nazwisko. „Myślą ciągle przy Gertrudzie"... Tysiączne dzięki za tę uszczęśliwiające wyrazy! Myślisz o Twojej małej Trudi? Może dodałeś, to „ciągle" przez dobroć; ale niemniej myślisz o mnie, duch Twój otacza mnie! Czuję, jakby lekkie muśnięcie skrzydła po mojej duszy: to pewnie

jedna z twoich myśli... Może to magnetyczna siła mojej nieustannej o Tobie pamięci zniewala myśl Twoją ku mnie... O, gdybyś Ty już był tutaj! Tęsknota za tobą serce mi trawi... gdybyś już był moim, miałabym prawo strzedz Cię, zatrzymać przy sobie,—obawiam się ciągle jeszcze, że nasze rozłączenie będzie wieczne; że jedno z nas umrze zanim się zobaczymy... Albo, że Ty mi nie dochowasz wierności, — wówczas też musiałabym umrzeć... Ale nie, Ty mnie kochasz, albowiem wybrałeś mnie między tysiącami. Nie będzież też już kochał żadnej innej, bo wszak kochać znaczy,—dowiedziałam się o tem teraz,—że na całym świecie istnieje tylko jeden człowiek, albo raczej, że cały świat zawarty jest tylko w tym jednym. Skarb mojej mowy zupełnie zrabowany, — dawniej posiadałam określenia na szczęście, wieczność, wszechświat, a teraz wszystko to nazywa się dla mnie: Ty, Ty, Ty!!!“

X.

Nazajutrz po wieczorze u margrabiny Marcy, Vetterstein złożył znów wizytę w hotelu „*Continen-*

tal,“ ale przyjęła go Kari sama. Izi, — jakoby nie w domu, pozostała w swoim pokoju.

Wieczorem spotkano się w teatrze.

Był to ostatni występ Judic, przed wyjazdem do Ameryki. Dawano „*La timbale d'argent*“.

Subtelność gry Judic, inteligencya artystyczna, przejawiająca się w każdym uśmiechu, w każdej, choćby najlżejszej intonacyi, pokrywała, więcej niż zuchwałą dwuznaczność tekstu.

Na zakochanych, siedzących w sali obok siebie, rozpustne żarty, mówione na scenie, oddziaływają w szczególny sposób. Zamieniane roziskrzone spojrzenia, półuśmiechy przy dźwiękach wesołej melodyi erotycznej zwrotki, mają prawie urok pieszczoty.

Kari nie była zakochana. Nie odczuwała też wcale działania zmysłowych płomieni, które, w takt polki, przebiegały śród dusznej atmosfery teatralnej; nie zamieniała z sąsiadem, księciem Emilem, rozbawionych spojrzeń; była zimna i spokojna, jak zwykle, i ziewała nawet trochę po za czarnym, koronkowym wachlarzem.

Dowcip francuski wogóle, a pieprzne żarty rozpustnej muzy operetkowej w szczególności nie wywoływały żadnego echa w wyniosłym, arystokratycznie wytwornym umyśle Kari. O ileż lepiej bawiła się w swojej loży w Operze wiedeńskiej lub w Burgu,— nietyle z powodu tego, co działo się na scenie, ile skutkiem świadomości, że loża Hohenberg'ów przedstawiała niejako tron, ku któremu spoglądali wszyscy obecni w sali teatralnej, szepcąc: „Piękna księżna Kari!“—Tutaj nikt jej nie znał, uroda jej przyciągał-

niejedną lornetkę, ale za kogo ją brano? — Może za awanturnicę? Paryż nie był miejscowością, w której dźwięk jej nazwiska mógł się do mas przedostać; co najwyżej zdarzyło się, że *Etincel'e*, kronikarka *Figara*, wspomniała o niej w rubryce „*Carnet d'un mondain*“, wyliczając obecnych na wieczorze w prezydenturze; ale, niestety, śród tylu innych nazwisk, których dźwięk nic nie mówił, jak panie Wilson, Lippman Makay, Lemaire itp. W tym demokratycznym Paryżu, za „*dessus du panier*“ uchodzi towarzystwo, które obok kilku księżnych francuskich i obcych, składa się z żon bankierów, artystek i—gorzej jeszcze. Wszakże, opisując przedstawienie galowe w Operze, sprawozdawca jakiś wspomniał że w loży ambasadora austryackiego zwracały uwagę dwie „prześliczne Węgierki,“—jakgdyby Hohenberg'owie i Thunen'owie byli Madziarami!—a w następnym wierszu skreślił tualetę jakiejś *divy* operetkowej: „*fourreau de satin rose avec flots de résédas.*“

Izi natomiast, która nie była tak duszą i ciałem arystokratką, jak siostra, czuła się upojona, przesycona uciechami, atmosferą stolicy świata,—Emil byłby powiedział, że odurzyła ją „parizina“. Izi dałaby w tej chwili bardzo wiele za to, żeby nie być hrabiną Thunen, która musi strzedz honoru wielkiego nazwiska i jest pod opieką dumnej, zimnej siostry, lecz Paryżanką, kobietą wolną, jak Robertyna de Marcy lub wolniejszą jeszcze artystką, któraby mogła, po teatrze, nie obawiając się kompromitacyi, pójść z Wetterstein'em na kolacye... Lecz tu myśli jej przybrały inny kierunek: gdyby nie była ową nie-

dościgłą Izi Thunen,—czy byłaby wówczas tak gorąco pożądaną, jak teraz? Nie, z pewnością. W Paryżu są setki ładnych kobiet, z któremi Wetterstein mógłby jeszcze dzisiaj pójść na wesołą kolacyjkę,—niewolno jej spaść do jednego z niemi poziomu: jej niedostępność, — a raczej powiedzmy dostępność utrudniona,—była warunkiem jej władzy; tak zatem musiało pozostać. Przez resztę wieczoru była uderzająco zimna.

Następnego dnia odbyć się miała umówiona wycieczka na wieś.

Towarzystwo zgromadziło się o godzinie dziesiątej w hotelu „*Continental*". Celem wycieczki był Wersal. Zebrano się dosyć licznie. Robertyna de Marcy przywiozła grono przyjaciółek i wielbicieli, a Zofii Orsaki (oprócz przyrzeczonego zajmującego Amerykanina i księcia Abchazyi, towarzyszyło kilku członków kolonii rumuńskiej.

Tych, którzy się jeszcze nie znali, przedstawiano wzajemnie. Obecni Francuzi,—między nimi oficer, który uczestniczył w wojnie z r. 1870, — doznali niemiłego uczucia, na dźwięk nazwiska księcia niemieckiego, jakkolwiek noszący to nazwisko był najprzyjemniejszym człowiekiem w świecie, jakkolwiek w wojnie tej wcale nie brał udziału. Skoro jednak, wrogie towarzyskości i szczęściu, niedorzeczne uczucie nienawiści narodowej istnieje, a niekiedy bywa pilnie podniecane,—niepodobna go zupełnie z życia towarzyskiego wyrugować.

Dwa breki i dwa landa stały w pogotowiu. Po spożyciu lekkiego śniadania, towarzystwo usadowiło

się i, omijając drogę kolei żelaznej, pojechało ku oddalonemu o dwie mile celowi.

Dzień był przepiękny, niezbyt upalny. Widoki spędzenia całego dnia na świeżem powietrzu, śród zieleni, nader miłe. Jadących ogarnęła litość nad biednymi mieszczuchami, przykutymi do chodnika, do sklepów, do domów, ale owa litość, która jedynie wzmaga własną uciechę i objawia się myślą: „Ach, jak to dobrze, że ja nie jestem na ich miejscu!“

Izi obiecywała sobie w ciągu dnia tego poprowadzić grę zalotności na wielką skalę. Z wczorajszego wieczoru w teatrze wyniosła przekonanie, że Wetterstein szalał za nią bardziej, niż kiedykolwiek i spodziewała się, że powie jej niejedną słodycz, niejeden upajający wyraz... A ona, łakotnisia, lubiła słodycze, lubiła i upojenie,—zuchwała. Ale kotka chciała dotknąć zatrutego cukru tylko koniuszczkiem różowego języczka, odważna — chciała w przepaść spojrzeć tylko, nie wskoczyć. Innemi słowy: Wetterstein miał być, jak dawniej, słuchanym, — ale pozostać nie wysłuchanym; tak było postanowione w programie Izi.

Panie decydowały, jacy panowie z niemi pojadą. Izi tedy wybrała Amerykanina, pana Walgrave, jakkolwiek żaden nie byłby jej takim miłym, jak Wetterstein. Obok niej siedziała pani de Marcy, a naprzeciw tej ostatniej książe Dyament.

Kari, nie mając najmniejszego zamiaru kokietowania Emila, wezwała go, bez chwili wahania, aby wsiadł do breku, w którym ona zajęła miejsce. Był on jej najmilszym sąsiadem, nietyle dlatego, że ucho-

dził za jednego z jej najwierniejszych wielbicieli, ile dlatego, że był najbardziej uwierzytelnionym wielkim panem z całego towarzystwa. Książe azyatycki wydawał jej się, z powodu swego pochodzenia, tylko księciem połowicznym, — niby jakiś syn królewski z Afryki; pan Walgrave był w jej oczach wprost „nikim“, nie zazdrościła tedy siostrze towarzyszów.

Cała ta wycieczka na wieś wydawała się zresztą Kari czemś poniżającym,—czemś, co ubliżało jej godności książęcej; nie mogła zatem pokonać uczucia niezadowolenia, które objawiało się tem, że twarz jej stała się wynioślejsza jeszcze i chłodniejsza, niż zazwyczaj. Ale ten pogardliwy wyraz odpowiadał doskonale odrzuconej w tył głowie Junony i księżna Kari była dzisiaj bardziej, niż kiedykolwiek, olśniewającem zjawiskiem, zwłaszcza w oczach obecnych Paryżan, którzy, przesyceni nieregularną „zmiętą“ urodą spółobywatelek,—ze szczerym podziwem spoglądali na tę rzadką, posągową piękność.

Zresztą, w żadnym z pojazdów nie prowadzono szczególnie ożywionej rozmowy. Takie pikniki,— zwłaszcza, jeżeli pomieszanych jest tyle rozmaitych żywiołów,—bywają zazwyczaj wesołe ku końcowi. Dopiero, gdy towarzystwo zasiądzie do stołu, każdy w odpowiedniem sąsiedztwie, i kieliszki szampana okrążą już stół kilkakrotnie, wówczas dopiero budzi się duch zabawy i wznieca między biesiadnikami wesele. Wówczas oczy zaczynają się iskrzyć, śmiech rozbrzmiewa, a serce wzbiera powszechną życzliwością (niekiedy zaś i szczególną „przychylnością“). Wówczas zdarza się, że niejeden wąski pantofelek nie

usuwa się dość szybko, gdy but sąsiada stanie na nim „przypadkiem“ i łagodnie; wówczas wychylany bywa, obok ogólnych toastów i niejeden prywatny, śród wymownych spojrzeń i szeptanych słów... wówczas odczuwają ludzie, że pięknie jest: żyć i dać żyć innym!

Godzina była mniej więcej siódma wieczorem, gdy towarzystwo zasiadło do stołu. Przez cały dzień oglądano sumiennie zamek i park starej królewskiej siedziby. Ów nieokreślony smutek, jaki wywołuje widok martwej świetności, jakiego się doznaje w pałacach weneckich, w zamkach królowej szkockiej Maryi, we wszystkich tych miejscowościach, gdzie niegdyś panował żyjący przepych, a gdzie dzisiaj widzieć już tylko można dobrze zachowaną mumię dawnego blasku,—ten smutek ogarnął i nasze towarzystwo, gdy wędrowało po salach zamku i alejach parku, gdzie ongi jaśniało, zagasłe już na wieki, słońce królewskie. U niektórych—u legitymistów mianowicie—do smutku dołączał się gniew, u innych zaś—republikanów,—zadowolenie. Kari doznawała nadto jeszcze odrębnego uczucia radości na myśl, że jej ojczysty Schönbrunn, — nie takiż, wprawdzie wspaniały jak Wersal,—jest dotąd siedzibą, promieniejącej żywym blaskiem korony cesarskiej; że ona, Kari Hohenberg,—w swoim kraju jest dotąd tem, czem były niegdyś zmarłe dawno margrabiny, które miały tutaj swobodę wejścia, gdyż posiadały „*tabouret à la cour*“ i miały prawo uczestniczyć w „*jeu de la reine*“.

Jona, — Kari von Hohenberg, dama pałacowa, obdarzona gwiazdą orderu krzyża,—miała przywileje u dworu... Osobliwe to jednak uczucie to prze-

świadczenie człowieka, że jest czemś innem, wyższem od reszty ludzkości. Gdy kiedyś cały świat zostanie już zdemokratyzowany, zniknie z tego powodu zupełnie odrębna przyjemność, której doznawali tylko członkowie sfery „wyższych dziesięciu tysięcy“, a która wzmagała się w miarę tego im uboższymi w uciechy były setki tysięcy i miliony nędzarzy. Zresztą, szkoda po utracie tej uciechy kopalnej będzie równie mała jak po zatraceniu innych urządzeń czasów przedhistorycznych.

Dzień ten, spędzony na oglądaniu pałacu i przechadzkach po parku, nie był szczególnie wesoły, a dosyć męczący. Teraz dopiero, — o godzinie ósmej, — gdy obiad trwał już przeszło godzinę, — uczestnicy pikniku byli orzeźwieni, wypoczęci, a nawet rozbawieni. Obiadowano w ogrodzie, w pierwszej restauracyi miejscowej, i towarzystwo zasiadło przy dwóch stołach, — dużym i mniejszym. Dokoła tego ostatniego zajęły miejsca cztery panie: Kari, Izi, Zofia Orsaki i Robertyna de Marcy, oraz czterech panów: Emil, Wetterstein, pan Walgrave i książe Abchazyi.

Ostatni, znawca wszystkich restauracyi w Paryżu i okolicach, ułożył *menu* i zamówił wina. Obiad był wyśmienity, ostrygi, ryby, pasztety, dziczyzna, lody — oblane maderą, *château Yquem*. Roederer'em *carte blanche*. Teraz stały już tylko wety, któremi raczyły się panie, gdy panowie, — a wraz z nimi i Zofia Orsaki, palili papierosy, popijając *fine Champagne*.

W altanie sąsiedniej biesiadowało inne towarzystwo paryskie,—z „*Haute-Bohème*.“ Ta „wysoka

cyganerya“ składa się mianowicie z artystów, literatów, światowców, słynnych aktorek, oraz samodzielnych panien, które zamieszkują własne pałace, ubierają się u Laferrière'a, a powozy kupują u Binder'a.

Przy stole cygańskim rozmawiano i śmiano się, — nie o wiele głośniej i o wiele swobodniej, niż przy stole, gdzie siedziały wielkie damy, które od czasu do czasu spoglądały ciekawie na altankę i nasłuchiwały rozmowy tamtych. Książe Dyament,— obeznany z Paryżem, — wymienił kilka nazwisk, gdy tamto towarzystwo mijało ich stół, by zasiąść w sąsiedniej altance. Księżna Kari obrzuciła przechodzących pogardliwem spojrzeniem i westchnęła, na co odezwał się Emil:

— Czytam twoje myśli, księżno. W Wiedniu księżna nie chciałabyś być widzianą w miejscu, gdzie „tacy“ biesiadują przy sąsiednim stole... ale w podróży! Trzeba przecież posługiwać się kolejami żelaznemi, parowcami, restauracyami i nie można zawsze mieć za sąsiadów ludzi tylko swojej sfery.

— Wiem o tem, kochany książe.

— A tutaj ma pani żywioł demokratyczny nawet śród swoich towarzyszów, — rzekł Walgrave,— to jest mnie, zwyczajnego mieszczanina z Bostonu...

— Panie Walgrave, — wtrącił Emil,—zdaje mi się, że pan uważa członków arystokracyi europejskiej za zbiór starych niedołęgów, którzy pobudzają pana do szyderstwa.

— O, ja mam zupełnie odrębne pojęcia o Europie, i, aby się niemi nie udusić, muszę je niekiedy spisywać.

— Pan pisze książkę?—spytała Zofia Orsaki.

— Uchowaj Boże! Piszę poprostu listy... — odparł pan Walgrave.

— Do wydawcy *Herald'a*?

— Nie, do przyjaciela, który nie każe bynajmniej drukować moich epistoł, i nawet nie odczytuje ich do końca; ale jest mi to obojętne, ponieważ piszę tylko dlatego, żeby się nie udusić ukrywanemi myślami.

— O, szczęśliwy człowieku, że masz jeszcze myśli!—zawołał Emil.— Większość ludzi ma jeszcze tylko kaprysy, zachcianki, usposobienia, mniejsze lub większe podrygi nerwowe. Coś równie wyraźnego, jak myśl, rzadko się zdarza w tym wirze wrażeń.

— Ja również nie jestem Europejczykiem,— wtrącił książe Dyament do rozmowy, — niemniej jednak uważam, że żyć można tylko w Europie...

— Pan przybywasz ze Wschodu, Europa zatem jest dla pana w każdym razie siedliskiem postępu.

— Czy pan chce przez to powiedzieć,—zawołała pani de Marcy, — że my tutaj jesteśmy zacofańcami wobec pańskiego świata zamorskiego?

— O tyle tylko, że mój świat zamorski jest światem nowym, młodym...

— Ponieważ jesteśmy starsi, a zatem, bądź co bądź, doświadczeńsi, czcigodniejsi.

— Ale ubożsi w przyszłość.

— Może pan uważa, żeśmy już nawet zdziecinnieli?

— Łaskawa magrabino, nie gniewaj się... nie mogę przecież uprawiedliwiać się tutaj przed panią; wszak nie zebraliśmy się dokoło tego stołu, aby robić studya porównawcze między starą i nową cywilizacyą.

— Masz pan słuszność!—zawołał Aslan.—Precz z wszelką mądrością!... *vive la folie!*

— Książe sądzi pewnie, że jest w sąsiedniej altance!—zgromiła Kari.

— O, księżno! nie bądźże taką surową, — odezwał się Emil,—i nie wypędzaj bogini szału ze swego otoczenia; niema nic harmonijniejszego, niż odgłos jej dzwoneczków, z towarzyszeniem wesołego śmiechu. Ach, gdyby to tylko można być często w życiu szalonym! My jesteśmy wszyscy za mądrzy, że nie powiem za głupi, by radować się szczerze życiem.

Gdy towarzystwo tak rozprawiało głośno, Wetterstein mówił po cichu do Izi.

— Czy pamięta pani nasze pożegnanie w Wiedniu?—Skinęła głową.—Powiedziałem pani wówczas „do widzenia“, i oto widzimy się ponownie. Czyż mamy się rozłączyć nanowo?

— Tak być musi.

— Czy musi?

— Pańska narzeczona...

— Niech pani nie mówi o tem biednem dziecku! Gertruda jest przecież moją narzeczoną tylko dopóty, póki pani będzie chciała.

— Ach, Hansie...

— Izabello!

Dłonie ich złączyły się pod stołem i pozostały splecione.

Od dużego stołu, przy którym siedziała reszta towarzystwa, oraz z altanki cyganeryi dobiegały ich toasty i śmiechy; w dali rozbrzmiewała orkiestra dźwiękami wesołych aryi operetkowych; liście na drzewach szumiały zcicha,—bliższe gałęzie jaśniały w blasku lamp lśniącą zielenią, gdy dalsze grupy drzew tonęły w mroku. Woń kwiatów unosiła się upajającą falą i tłumiła szczególny zapach, panujący w ogrodach restauracyjnych, a złożony z wyziewów potraw, gazu i roślin.

Musujący, wychylany szybko kieliszkami, szampan, wraz z elektrycznym prądem miłosnym, idącym od rozpalonej dłoni sąsiada do jej uwięzionych palców,—odurzył główkę Izi. Czuła wielką, lecz jakby we śnie doznawaną rozkosz; zdawało jej się, jakby jakieś inne, do tej godziny przywiązane Ja, używało tych uciech, jakieś Ja, które występowało w niej tylko w roli gościnnej, a które będzie musiała niebawem znów zamienić na tamto dawne, zwykłe.

Towarzysze powstali od sąsiedniego stołu i zbliżyli się. Wówczas podniosły się również Kari i Izi. Zabrano się do odwrotu. Podczas jazdy do Paryża Izi i Wetterstein byli rozłączeni.

Następnego ranka rozmarzenie, powstałe pod wpływem szampana, pierzchło, — rola gościnna skończyła się: hrabina Thunen była znów sobą. Gdy Hans przybył w południe, by zapytać o zdrowie pań, po

dała mu z chłodną uprzejmością czubki palców i odparła:

— Dziękuję, mam migrenę.

— I mnie trochę głowa boli, — rzekła Kari.— Takie wycieczki na wieś, to szaleństwa; już mnie nikt na żadną nie namówi.

Hans również otrząsnął się z odurzenia wczorajszego. Ani mu już w głowie postało porzucać narzeczoną. Wszak znaczyłoby to jednocześnie zrzec się majoratu, wycofać się ze służby i zrezygnować z całego przyjemnego życia, którego program już sobie ułożył, a w którem posiadanie tego cudnego pączka dziewiczego—Gertrudy,—niemałą odegrywało rolę. Na takie romanse z Izi miał jeszcze czas,— nawet po latach kilku. Niezłomnej wierności małżeńskiej bowiem program jego nie obejmował.

Hans obawiał się, że Izi weźmie go za słowo i przypomni mu zerwanie z Gertrudą; z przyjemnością wszakże wywnioskował z jej obejścia i mowy, że ona pragnie wszystko, co zaszło i było mówione, uważać za niebyłe. I zdawało się, że pozycya długu miłosnego została z księgi pamięci obojga wykreślona.

XI.

John Walgrave do Waltera Sieney'a w Bostonie.

Paryż, w czerwcu r. 188.

„Kochany Przyjacielu!

Wczoraj podczas pikniku, zapytano mnie o zdanie o Europie; przypomniało mi to, że dawno nie przesłałem ci raportu ze starego świata, zasiadłem tedy do biurka, i oto śpieszę powetować, com zaniedbał.

Pobyt mój tutaj dziwi mnie, raduje i gniewa w dalszym ciągu. Jednocześnie wszakże zaczyna mnie brać tęsknota za ojczyzną, a jeśli się wzmoże, to niebawem ujrzysz mnie wylądowującego w naszej świeżej, praktycznej, rozumnej Ameryce.

Coprawda i tutaj zagnał mnie rodzaj tęsknoty za ojczyzną; my, wykształceni mieszkańcy Stanów Zjednoczonych, jesteśmy w gruncie rzeczy wszyscy mniej lub więcej urodzonymi w nowym świecie Europejczykami. Nasz język, nasze myśli, studya nasze i ideały artystyczne, wszystko to bierze jeszcze swój początek ze starej części świata.

Nie tak to dawno jeszcze fala ludzkości, tocząca się na Zachód, opuściła terytoryum europejskie, żeby miała już zatracić wspomnienia o swojem starem wybrzeżu. Europejczycy również przybyli ze Wschodu, ale od owej pory minęło już tyle wieków, że zatarła im się w pamięci kolebka kaukaska i indyjska. Nadto przybyli tutaj barbarzyńcami i na nowym gruncie dopiero przekształcili się na to, czem są; tutaj powstała ich historya; tu narodziły się ich sztuki i literatury; tutaj, można powiedzieć, ocknął się ich duch. A my, Amerykanie, przenieśliśmy ze sobą za ocean tę historyę, te sztuki, te literatury i tego ducha i przyczepieni jesteśmy tysiącami nici do starego świata. Każdy z nas tęskni za Europą, jak za ojczyzną, i zwiedza tutaj same znane miejscowości; wydaje mu się, że wszystko, co widzi — jakkolwiek nigdy w życiu tego nie oglądał,—widział już kiedyś.

Za kilkaset lat będzie inaczej, mój Walterze. Wówczas będziemy mieli własną historyę; nasz, budzący się obecnie, duch, stanie się potężnym i samodzielnym; Europa będzie dla nas krainą nawpół zapomnianych legend,—i może ucywilizuje się wówczas, naśladując kulturę zachodnią; zupełnie jak dzisiaj Wschód bierze za wzór kulturę zachodnio-europejską. Przyszłość należy do nas, Walterze. Yankes będzie panował dopóty, dopóki z biegiem czasu nie powstanie szczep nowy (może w Afryce środkowej), wobec którego nawet yankes przyszłości będzie barbarzyńcą.

Ale dajmy pokój roztrząsaniu tego, co się stać może za parę tysięcy lat (kto wie, czy wówczas

wogóle jeszcze na ziemi coś dziać się będzie, czy jaka katastrofa kosmiczna nie zniszczy tej małej planety) i zajmijmy się obecnemi przygodami Twego czcigodnego przyjaciela, John'a Walgrave.

Już w poprzednich listach opisałem Ci zachwyty, w jakie mnie wprawił widok gór szwajcarskich, włoskich skarbów sztuki, nadreńskich ruin zamkowych, londyńskiego Hydepark'u podczas „sezonu", bulwarów paryskich i t. d.; teraz pozwól, że ci powiem, co mi się tutaj, — nie mówię o Paryżu, ale o Europie wogóle, — wydaje niesłychanie pierwotnem, pełnem braków, dziecinnem; co na mnie wywiera takie wrażenie, jakiego doznawać musi podróżujący po Wschodzie Europejczyk, gdy z pośród inteligentnego ruchu swojej ojczyzny zostanie przeniesiony na wybrzeże morza Chińskiego, albo na brzeg Gangesu; albo na dwór ocienionego parasolem króla syamskiego, do którego można mówić tylko tarzając czoło w prochu; albo do świątyni białego słonia. Podróżny, dopuszczony przed oblicze jego syamskiej królewskiej mości lub boskiego czworonoga, wydaje się sobie niby widz teatralny; zarówno królewskość, jak świętość jest dla niego komedyą nie rzeczywistością. Ten sam podróżnik europejski wszakże — spotkawszy w swoim kraju ukoronowaną głowę, — zostaję przejęty najgłębszą czcią i szacunkiem.

Mnie, Amerykaninowi, demokracie, człowiekowi wolnemu, cały ten przepych monarszy wydaje się niby wschodniem widowiskiem dekoracyjnem. Nie brak w tej maskaradzie i żywiołu barbarzyńskiego,

okrutnego. Bohaterowie i statyści zbytkownego przedstawienia, które się nazywa nowoczesną historyą europejską, nietylko są ozdobieni tarczami herbowemi, orderowemi wstęgami i gwiazdami z brylantów, — nie, w głębi połyskują dobyte miecze i zabójcze działa, widać błysk wyszczerzonych zębów i krwiożerczych oczu, armie stoją naprzeciw siebie gotowe do tygrysiego skoku i ćwiczone są w mordowaniu; zapewniam Cię, że to brzydka komedya.

Przyglądałem się kilku tak zwanym „wielkim manewrom“, — zdaleka oczywiście, bo mnie, niepozornemu, nie siedzącemu na koniu cywiliście, nie było danem dostać się między książąt i generałów, którzy konno, zdobni w pióropusze, złociste lampasy, szarfy morowe, liczne krzyże i ordery (w Syamie noszą dygnitarze jeszcze daleko więcej piór, jedwabi i drogich kamieni), przypatrują się defilującym przed nimi maszynom i maszynistom zniszczenia. — To jest tylko próba generalna widowiska; można sobie wszakże łatwo wyobrazić, jak ono samo wypadnie z dodatkiem płynącej krwi, ochrypłych krzyków bólu, strzaskanych kopytami końskiemi czaszek, wypływających wnętrzności, ludzi konających z pragnienia w rowach i zakopywanych żywcem w dołach...

Dozwolonem mi było, jak rzekłem, przyglądać się świetnej próbie świetnego widowiska tylko zdaleka i dlatego może nie sprawiła mi ona tyle uciechy, co owej grupie książąt (przez kurtuazyę książęta przywdziali mundury swoich gości lub gospodarzy), którzy, po skończeniu, ściskali sobie dłonie, winszowali wzajemnie i dziękowali. Może jutro poprowadzą

oni swoje armie jeden przeciw drugiemu; albowiem z garkuchni, dyplomacyą zwanej, wychodzą zupełnie niespodziewane potrawy; dzisiaj wszakże zapewniają się o braterskiej przyjaźni i kończą dzień uroczysty obiadem, w towarzystwie ujmujących księżniczek. Gdyby i mnie na taki obiad zaproszono, pochlebiłoby mi to bardzo, nie przeczę, wszakże najróżnorodniejsze nici łączą mnie ze staremi tradycyami tak silnie, że odczuwam jeszcze znaczenie tytułu i władzy.

Ale nie dopuszczono mnie do dworskiego stołu i wiele osób mogłoby sądzić, że jedynym powodem mojego całego rozgoryczenia przeciw tej komedyi manewrów jest ów upokarzający fakt — „Wiecznie stara historya lisa, pogardzającego winogronami“. A jednak stałaby mi się wówczas krzywda. Tak, to prawda: ja owych winogron dostać nie mogę; mnie nie uśmiecha się wstęga orderowa, ani buława marszałkowska, ani odlany w spiżu pomnik; ale pozostaję przy tem, że są to kwaśne, gorzkie, trujące winogrona; może są one słodkie dla tych, którzy ich zakosztują, lecz same przez się, to krwawy, zabójczy, jak wilcza jagoda, owoc drzewa barbarzyństwa!

A co tu jeszcze na starym kontynencie pozostało ducha feudalnego, zabytków rycerskich, tego Ty, jako uczciwy Bostończyk, nie jesteś wcale w stanie sobie wyobrazić. Są tu jeszcze ciągle jednostki, które uważają siebie za wybór ludzkości dlatego, że noszą dziedziczny tytuł urzędu dworskiego, dlatego, że mają z urodzenia prawo do wyświadczania dzisiaj, oddawanej przez jednego z przodków, usługi, gdy król poluje lub biesiaduje. Kiedyż ludzie zrozumieją

nareszcie, że istnieje coś wyższego nad honory, mianowicie honor; lepszego, niż godności, mianowicie godność—i niezłomniejszego, niż prawa, mianowicie prawo!

Nie sądź tylko, że sam, wpadłszy w zarozumiałość, wmawiam w siebie, iż pielęgnowanie idei demokratycznych i wolnomyślnych jest przywilejem amerykańskim, żem ja — krzewiciel nowoczesnego światła—wpadł tutaj w zamęt ciemności średniowiecznych; żem ja, syn amerykańskiego dziewietnastego stulecia, wyprzedził pod względem umysłowym dzieci dziewietnastego wieku europejskiego. Daleką jest odemnie podobna zarozumiałość. Idea wolności, zasada humanizmu, oswobodzenie ducha ze wszystkich więzów przesądu ma tutaj najznakomitszych przedstawicieli. My, za oceanem, nie jesteśmy bynajmniej wynalazcami tych rzeczy, to też pozwalamy z chęcią, aby je do nas importowano.

Dzisiaj, jak dawniej, sprowadzamy w dalszym ciągu nasz pokarm duchowy ze starego świata. Chrześciaństwo zabraliśmy ze sobą, później filozofię Kanta, a teraz przenosimy do naszej ojczyzny teoryę rozwoju, całą nowoczesną szkołę angielską. Nie, myśmy ich jeszcze nie wyprzedzili. Najpiękniejsze kwiaty duchowe wyrastają tutaj, a my zadawalamy się przeszczepianiem ich sadzonek na nasz grunt. Przewaga, jakiej się domagam dla nas, to przewaga dziecka nad mężczyzną, mianowicie skarb przyszłości.

My jesteśmy młodzieżą i pozwalamy się uczyć starcowi; ale to, czego się dziś nauczymy, będziemy mogli rozwinąć dalej, niż zdołają starcy, albowiem

działalności naszej nie tamują starożytne wspomnienia i obyczaje. Albo, wyrażając się inaczej: wyniki zasad nowoczesnych nie mają tu dostatecznego miejsca i powietrza do pełnego rozwoju, albowiem wszędzie jeszcze stoją żywe i oporne wyniki zasad przeżytych, w postaci instytucyi, praw, przesądów i przyzwyczajeń życiowych. Wszystkie one mają w sobie siłę faktu, a fakt stawia zacięty opór napaściom idei.

Oczywiście, z biegiem czasu, ponawiające się coraz napaści mogą—i muszą — zachwiać wszelkiemi murami i doprowadzić je do runięcia; ale najlepsza siła nowej zasady musi się zużyć na usuwanie przeszkody, zamiast na rozwój własnych wyników. Nam zaś, Amerykanom, dlatego łatwiej przyjdzie rozwój idei, że nie mamy u siebie tyle przeszkód do usunięcia.

Gdy więc z krytyczno-racyonalistycznego ruchu ducha czasu zrodzi się nowa miara, nowy system moralny wówczas, według wszelkiego prawdopodobieństwa, u nas najszybciej i najpotężniej wejdzie w życie. Dzisiaj zadawalamy się jeszcze zaopatrywaniem uboższej w produkty części świata, w zboże, suszone mięso, maszyny do szycia i lampy elektryczne; ale może jeszcze nadejść dzień, kiedy przesyłać jej będziemy pokarm i światło dla ducha.

Czy uważasz, że to zarozumiałość? Sądzisz może, iż nadęty jestem przesadną dumą i pysznię się gwiaździstym sztandarem? W takim razie wyrządzasz mi krzywdę po raz drugi, — jak poprzednio z owemi zielonemi winogronami. Ja nie spodziewam się od przyszłości bynajmniej zwycięztwa narodu północno-amerykańskiego, jako takiego, spodziewam

się tylko, że podobnie jak ze zbratania się gmin powstał dopiero „naród“, tak kiedyś ze zlania się wielu narodów wyniknie wyższe jeszcze zjednoczenie. A jeśli mniemam, że Ameryka jest gruntem, na którym to zjednoczenie może najpierw przyoblec się w postać, to nie czynię tego skutkiem przeceniania naszych zalet narodowych, lecz poprostu z uwagi na fakt, że na naszym gruncie nie wznosi się tyle, tak głęboko zakorzenionych i wystających tak wysoko przeszkód, co na gruncie starej Europy.

Ale, teraz, dosyć tej socyalno - filozoficznej gadaniny,—pilno mi mówić z Tobą o rzeczach mniej oderwanych,—o moich najnowszych przygodach paryskich.

Jestem jeszcze ciągle bardzo poszukiwany w kołach towarzystwa wielkoświatowego. Powiesz mi na to, że wyrządzam arystokracyi europejskiej krzywdę, nazywając ją wyłączną, skoro tak chętnie dopuściła mnie, pozbawionego tytułu Amerykanina, do swego grona. Pamiętaj wszakże o tem, że: popierwsze towarzystwo paryskie nie jest takie zamknięte, jak np. angielskie lub austryackie; podrugie zaś mam kilka tytułów, które również oddziaływają otwierająco na drzwi salonów: milioner i cudzoziemiec, bogaty i z dalekiego kraju, — to znaczy duże zwierze i rzadka bestya.

W Paryżu zwłaszcza wystarcza ta podwójna właściwość, aby z najmarniejszego durnia zrobić otoczoną aureolą postać. Wszakże znasz Brazylijczyka z komedyi i nababa z romansu? Na każdego, świeżo przybyłego, naszpikowanego złotem cudzoziemca

przypada cząstka popularności tych typów. Jesteśmy nietylko „*reçus*“, ale i „*gâtés*“, „*choyés*“, — zwłaszcza „damulki“ uważają nas za najwdzięczniejszy, najpodatniejszy do oskubywania przedmiot swoich zaofiarowanych łask. Ale ty wiesz, że nie jestem Brazylijczykiem,—trzymam się zdala od „świata kolacyjek“. Zbyt on jednostajny. Wolę tak zwane „dobre“ towarzystwo; przedstawia ono dla obserwatora daleko liczniejsze odmiany,—jakkolwiek i ono napiętnowane jest jednym wielkim rysem charakterystycznym, — podobnie jak „złe“. W ostatniem rys ten nazywa się lekkomyślnością, w pierwszem wyniosłością. Niekiedy bywają ci wyniośli jeszcze i lekkomyślni, — ale to tylko taka sobie uwaga na marginesie.

Wczoraj poznałem znów kilka nowych egzemplarzy z tego wyniosłego gatunku. Opiszę Ci je szkicowo. Nie będą to portrety, bo obserwowałem moje wzory tylko przez kilka godzin podczas wiejskíej wycieczki, ich postaci tedy rzuciły na mój umysł zaledwie sylwetkowe cienie.

Uczestniczyłem mianowicie w towarzystwie pani Orsaki (którą znasz z moich poprzednich listów) w wycieczce do Wersalu, wespół z kilkunastu innemi osobami. Ograniczę się naszkicowaniem Ci tych, z którymi siedziałem przy jednym stole.

Zaczynam od mężczyzn: Książę azyatycki,— a zatem również cudzoziemiec z odległej krainy— i do tego bardzo złożony: w połowie syn Wschodu, w połowie Europejczyk, w trzech czwartych bulwarowiec. W moich oczach blagier, okłamujący nietylko innych, ale i siebie samego. Kłamie tak dużo, blaguje

tak niesłychanie, że sam zaczyna wierzyć w swoje fantazye i że ma przed samym sobą olbrzymi szacunek. Posiada pamięć, werwę, ztąd mówi bardzo dużo, albowiem język jego paple płynnie to wszystko, co się uczepiło jego pamięci. Słucha sam siebie z zajęciem i zdumieniem, bo nie wie nigdy z góry, co powie, i z natężeniem uważa na własną mowę.

Mowa ta wprawdzie niezawsze ma wiele związku; ale nie przerywa się i pełna jest różnych błyskotliwych frazesów, płynąch rytmicznie, tak, że w końcu on sam najchętniej zawołałby sobie: „Brawo!“ Zdumiewającem było istotnie, jakie on nam rozwijał systemy polityczne między krewetkami a karczochami, jak zwłaszcza przekształcał swoją ojczyznę na mały Paryż!

Po nim następuje książe niemiecki. Ten nie przedstawia mi profilu do sylwetki; mam go silnie w podejrzeniu, że sam jest rysownikiem, obserwatorem, wyższym ponad wir i zamęt wielkoświatowy. Podobał mi się wogóle bardzo. Jakkolwiek najwyższy rangą w naszem towarzystwie, najmniej wszakże wyniosły. Musiałbym się chyba bardzo mylić, ale zdaje mi się, że ten człowiek ma też serce. Przytem taki dżentlmen — więcej jeszcze wyznać muszę: taki książę; wyraz dżentlmen nie określa dostatecznie wysokiej, szlachetnej dystynkcyi, bijącej od postaci tego człowieka. Nie można sobie naprzykład wyobrazić nic piękniejszego, pod względem kształtu i wyrazu, niż jego ręce; bo przyznasz mi przecież, że ręce mają swój wyraz, własną fizyonomię.

Trzeci, to książe austryacki (Jak widzisz, był to stół jaśnie oświecony). Prześliczny kawalerzysta, — był po cywilnemu, ale zdaleka poznać w nim można kawalerzystę,— który musi się bardzo podobać kobietom. I jednej z obecnych też się podobał,— ale o tem później. Na mnie nie wywarł szczególnego wrażenia. Posiada młodość, bogactwo, tytuł—zresztą może to i rozumny chłopiec.

A teraz panie: Zofia Orsaki, zawsze ta sama, ekscentryczna, uganiająca się za oryginalnością, paplająca nieustannie, zawsze gotowa śmiać się i płakać jednym tchem; niestety, za młoda na swój wiek. albo za stara na swoją upartą młodość, by nie powiedzieć, dziecinność.

Podrugie: margrabina. Ale nie czystej wody. Jest mianowicie córką mieszczanina. Niema w niej nic margrabiny z *ancien régime*; natomiast stanowi typ „*cocodette'y*“ z drugiego cesarstwa, — żyje tylko dla tualety, świata i zabaw; czy się przytem bawi, nie wiem. Mnie wydała się zdenerwowaną; Azyata widocznie postanowił sobie zdobyć jej serce, ale nie sądzę, żeby pod zdobnym we wstążki żabotem wogóle biło serce. Taką „paryską“ Paryżankę możnaby raczej podbić zmysłami, albo zdobyłby ją znacznie prędzej wytrawny Paryżanin, niż taki, przy całem wmawianiu w siebie znajomości świata, naiwny cudzoziemiec.

Potrzecie: księżna autryacka. Wenus, jako uroda, ale Wenus z kamienia. Wyniosła i poważna, siedziała przy kolacyi na tym pikniku, jakby na obiedzie dworskim. Od patrycyuszowskich rudawych

włosów do czubka patrycyuszowskiej stopy,— patrycyuszka, w każdym celu „jaśnie oświecona ***, pani na ***.“ Znalazłem wszystkie jej tytuły w kalendarzu gotajskim, a pasują do niej jak najdokładniejszy rysopis. Tylko lista ich o wiele zakrótka,—wyliczenie wszystkich koron i dyademów, które nosić miałaby prawo ta promienna, rudawo-złotawa głowa, powinnoby wypełnić całą epopeę. Pochwyciłem niejedno tkliwe i ciepłe spojrzenie, jakiem mój faworyt, ów książę niemiecki, ją obrzucał. Może uwielbia ją w cichości ducha; ale zdaje mi się, że nie ma się czego od niej spodziewać,—nawet, gdyby, w przystępie królewskíego kaprysu, oddała mu się kiedykolwiek, i wówczas nawet nie ustąpiłaby nic ze swego zimnego majestatu. Można niekiedy z takiej zimnej natury zrobić kochankę, ale kochającą,—nigdy.

Numer czwarty. Siostra poprzedniej. Zajmująca brunetka; nie wyglądająca bynajmniej na wielką arystokratkę. Może jest nią w duchu, ale na tę kolacyę nie przyniosła ze sobą swojej dziewięciogałkowej korony — i słusznie uczyniła. Przyszła po to, żeby się bawić—i zdaje mi się, że się bawiła.

Zresztą przy naszym stole nie panowała zbyt wielka wesołość. Ja sam, w charakterze obserwującego Europę studenta, byłem z pewnością najnudniejszy ze wszystkich. Mój sympatyczny książę niemiecki również nie zadawał sobie trudu, jak już wspomniałem, błyszczenia dowcipem i wymową. Zamienił ze mną kilka poważnych słów i, zdaje mi się, że powziął ku mnie to samo przyjazne zaufanie, jakie we mnie wzbudza. Taką wzajemność człowiek odczuwa, obja-

wia się ona często w tonie jednego słowa, nie umiałbym powiedzieć, czem wyrażona.

Azyacie natomiast byłem w najwyższym stopniu niesympatycznym; widział we mnie wcielenie praktyczności amerykańskiej, — kierunku najzupełniej przeciwnego jego naturze. Austryak był grzeczny—pozornie; w duchu uważał moją osobę za nieobecną. Jemu zresztą można przebaczyć wszystko; znajdował on się w stanie niepoczytalności, określanej słowem „zakochany.“ Co to były za szepty z czarnooką hrabiną! Byłem zazdrosny, — faktycznie zazdrosny. Czarnooka podobała mi się,— a niema wogóle nic nieprzyjemniejszego dla człowieka, który sam nie posiada przy sobie ukochanej sąsiadki, niż siedzieć przy stole, gdzie dwoje zakochanych szepce do siebie przesyłając sobie pieszczoty spojrzeniem i, kto wie,— może jeszcze inaczej. Wzbudza to gwałtowne, dręczące uczucie, takie naturalne, jak głód i pragnienie, to samo, które wywołuje cały wściekły ryk jeleni w lesie i wszystkie walki trojańskie między ludźmi.

Wiele praw i kazań moralnych zawdzięcza również temu uczuciu swoje pochodzenie. Człowiek nie może przyglądać się obojętnie — lub wyobrażać sobie — jak dwoje innych upaja się nektarem miłosnym, gdy sam siedzi trzeźwy i o suchem podniebieniu. Chcąc, o ile możności uniknąć takiego udręczenia, grozi wszystkim, łaknącym wychylenia puharu, swoją pogardą, głosi odrazę swoją dla tych, co na groźbę nie zwracają uwagi, a te drobne zawistne złośliwości nazywają się „surową moralnością.“ I mnie tedy również ogarnęło wczoraj cnotliwe obu-

rzenie na tę parę. Na szczęście w drodze powrotnej byli rozłączeni; ja sam dokładałem wszelkich starań, aby to rozłączenie doprowadzić do skutku.

Było już ciemno, a gdyby oni siedzieli obok siebie, wówczas usta ich byłyby się prawdopodobnie znalazły, — a ja, — siedzący w drugim rogu powozu, musiałbym to znosić. Dzisiaj nieszczęście to już się może stało, — ale to mnie nic nie obchodzi. Zresztą, mam tę szansę, że wraz z pierzchnięciem odurzenia piknikowego rozwiała się i ta cała miłość. Istnieją takie romanse, które trwają przez godzinę tylko; jeśli epilog nie nastąpi w tej samej godzinie, w takim razie następnego dnia rozpłynie się cała mglista mara.

Czy Ci ten list przypadkiem nie za krótki? Innym razem więcej."

XII.

A zatem, Bogu dzięki, niebiańska Izi nie nalega na zerwanie moich zaręczyn! — powiedział sobie Hans, po złożeniu przedpołudniowej wizyty w hotelu „*Continental*".—Na coś wszakże powinienbym się od-

ważyć. Ona mnie kocha, zdradziła się z tem wczoraj wyraźnie. Czyż nie byłoby to opieszałością nie do darowania, gdybym nie zerwał dojrzewającego owocu miłości z tego szpaleru?

Namyślał się, czyby z miejsca nie zawrócić i nie usiłować rozpocząć nanowo sceny, wczoraj przerwanej. Wszak kwestya zerwania z Gertrudą była wyłączona; Izi jest kobietą rozumną, która zechce uniknąć wszystkich gwałtownych wybuchów i wszelkiej tragedyi; przytem wszakże jest słaba, rozgorzała namiętnością; czy też nie przystałaby tutaj, na obczyźnie, w tym wielkim Paryżu, gdzie mogłaby zupełnie bezkarnie pozwolić sobie na mały wybryk, — czy oparłaby mu się, gdyby ją o to błagalnie prosił?... Czy ma powrócić? a może napisać?

Hans zdecydował się na ostatnie. Wszedł do najbliższej kawiarni, kazał sobie podać papier i atrament i napisał, co następuje:

„Nic łatwiejszego, niż w ciemnej tualecie, w gęstej woalce wsiąść do dorożki i pojechać do Rotundy Pól Elizejskich. Tam spuścić firankę, zatrzymać dorożkę i pozwolić, aby stojący przy drodze przechodzień otworzył drzwiczki i wsiadł. Tak stać się ma dzisiaj między ósmą a dziewiątą wieczorem. Jeśli tam, w górze, anioł jaki zaciąga do księgi wydawane na ziemi sumy szczęścia, w takim razie mógłby zapisać: Na dobro dwojga rozumnych ludzi — kilka godzin błogich rozkoszy.

Hans“.

Bilecik powyższy zaadresował do hrabiny Thunen i wręczył go posłańcowi, z poleceniem czekania na odpowiedź.

W dziesięć minut później posłaniec wrócił.

— Nie było tej pani w domu,—oświadczył,—zostawiłem bilecik u portyera.

Co za niepewność! Hans nie ma pojęcia, jak wytrzyma do ósmej. Jednakże ta niepewność milszą mu była, niż odpowiedź odmowna, może milszą nawet niż odpowiedź przychylna; albowiem ta ostatnia, dowodząc zbyt wielkiej gotowości, zmniejszyłaby urok przygody. Teraz wyobrażał sobie, że Izi będzie przez cały dzień walczyła ze sobą; w oznaczonej godzinie zaś owładnie nią taki pociąg do schadzki, że, posłuszna niepokonanej mocy, postąpi prawie nieświadomie tak, jak jej kazano; przywdzieje ciemny strój, wymknie się na ulicę, wsiądzie do najbliższej dorożki, i z bijącem sercem, drżąca, wstydliwie zarumieniona, przybędzie na oznaczone miejsce... A dokąd on ją zawiezie? Do Lasku Tak, i tam, w restauracyi „Madryt“ w zacisznym pokoju...

Należało przedsięwziąć do tego jakieś przygotowania. Hans skinął na dorożkę i kazał się zawieźć do restauracyi „Madryt“. Tam zamówił pokój, ułożył *menu* wykwintnej kolacyjki, wydał rozkaz, aby była na dziewiątą gotowa—półmiski i talerze na gorących fajerkach, butelki z szampanem w lodzie, tak, by nie przeszkadzał żaden kelner. Nadto zapowiedział, że w ciągu dnia przyśle meble i kobierce i polecił, żeby stare meble wyrzucić.

Właściciela restauracyi paryskiej nic nie zdoła wprawić w zdumienie; słuchał uważnie rozkazów i zapewnił, że na godzinę dziewiątą *monsieur* zastanie wszystko gotowe.

— Być może też,—rzekł *monsieur* na odchodnem,—iż nie przyjdę wcale...

W godzinę później zatrzymał się przed „Madrytem“ wóz ładowny. Przysłany przez Hansa tapicer, w towarzystwie kilku robotników, zabrał się, stosownie do danych rozkazów, do przystrojenia oznaczonego pokoju.

Ściany,—niemi świadkowie niezliczonych rozpustnych scen,—zawieszone zostały materyami; zwierciadło, porysowane cyframi mnóstwa *belles petites*, zastąpiono nowem, weneckiem; dalej kanapa jedwabiem kryta, na której nikt jeszcze nie spoczywał; miękkie kobierce, stół i kwiaty,—kwiatów moc, grupy roślin w rogach, w wazonach na kominku, pojedyncze róże na posadzce; wisząca lampa z matowego szkła różowego, rozlewająca magiczne światło, a na bronzowym słupie kadzielnica, na wzór tych, które stały w komnatach starorzymskich, a z których unosił się dym odurzających woni.

Hans wyobrażał sobie scenę, jaka się w tem otoczeniu rozegrać miała: Rozpłomieniona miłością, piękna kobieta, przytem dama z wielkiego świata, wchodzi do takiego pokoju... połączony czar woni i światła, na tle miękkiego połysku materyi, odurza jednocześnie wszystkie jej zmysły, urok zakazanego owocu, tajemnica, bezpieczeństwo, zapewnione odcinającym od świata zasuniętym ryglem, wszystko

przyprawia ją o zawrót głowy, o szał, w którym tonie pamięć nieba ziemi i piekła... Zrzuca płaszcz i woalkę, zdziera szal z łona, wyrywa grzebień z włosów; im bardziej uświadamia sobie własną piękność, tem staje się niecierpliwszą, by zajaśnieć całym majestatem swojej urody; skąpana w blasku miłości, stać będzie wprost niego i wyciągnie ku niemu olśniewająco białe ramiona,—ku niemu, któremu dozwolonem zostanie być w takiej boskiej godzinie bożkiem tej bogini...

Dnia tego siostry powróciły dosyć późno do domu. W ciągu przedpołudnia złożyły wizytę jednej z księżnych z domu Orleanów, która przybyła na krótki czas do Paryża ze swego historycznego zamku***. Księżna przyjęła nader uprzejmie obie Austryaczki i poprosiła je, aby, zamiast jechać prosto do Trouville, spędziły tydzień u niej na wsi, dokąd powraca za dni kilka.

Kari z radością przyjęła zaproszenie. Poraz pierwszy od czasu jak była w Paryżu miała widoki przebywania w swoim zwykłym świecie; poraz pierwszy doszedł ją jakby powiew ojczyzny. Człowiek bowiem ma różne ojczyzny, nietylko tę ziemię, na której się rodził; istnieje ojczyzna serca, inteligencyi, położenia towarzyskiego. Uczony, z jakiegokolwiek kraju jest rodem, czuć się będzie bardziej swojsko na kongresie uczonych, zwołanym ze wszystkich stron świata, niż w izbie karczemnej swojej własnej wioski rodzinnej, śród zgromadzonych tam okolicznych handlarzy bydła. Podobnie Kari w kole Orleanów, Chartres'ów, Artois'ów i t. p., nie będzie tak bardzo

odczuwała, że jest na obczyźnie, jak w salonach prezydentury, gdzie obok jej nazwiska meldowane są również nazwiska żon ministrów i deputowanych. Cała atmosfera będzie inna; nie będzie się w niej unosił pył idei republikańskich, rewolucyjnych, demagogicznych,—pył, który, drażniąc płuca moralne Kari, przyprawia ją o moralny kaszel; na zamku orleańskim panować będzie nareszcze znów atmosfera czysta, bogata w tlen arystokratyczny.

Gdy panie powróciły do domu, wręczono im różne karty i listy.

Izi poznała pismo na adresowanym do niej bileciku.

— Ach! od Wetterstein'a, — rzekła głośno, rozdzierając kopertę.

Przeczytała i oblała się szkarłatem.

— Cóż pisze?—spytała stojąca obok Kari.

— O, nic... Prosiłam go, żeby mi coś załatwił... — i szybko wsunęła arkusik do kieszeni.

O godzinie ósmej Hans z bijącem sercem stał przed Rotundą na Polach Elizejskich. Za każdą nadjeżdżającą dorożką, dech zamierał mu w piersi. Wszystkie omijały go.

Nareszcie — po nieznośnie długiej półgodzinie — dorożka zatrzymała się w oznaczonem miejscu. Hans podszedł bliżej; firanka była spuszczona. Książe porywczo otworzył drzwiczki.

Wysiadł męczczyzna—posłaniec; podał Hansowi list, rzekł:

— Kazano mi wręczyć to panu, — i odszedł śpiesznie.

Hans zbliżył się do słupa latarni i przeczytał:

„Jeśli śród gwiazd anioł jaki zaciąga do księgi sumy bezczelności synów ziemi, w takim razie zapisał dzisiaj bardzo znaczną pozycyę.

I.“

Książe byłby mógł krzyknąć ze złości. Wydał się sobie jak człowiek doszczętnie ograbiony. Przed kilku minutami posiadał jeszcze taki wielki skarb nadziei, czyniący zeń jednego z najbogatszych ludzi na świecie, i naraz skarb ten zamienił się w nicość. To nie do zniesienia! Nie do zniesienia!

Lecz teraz dopiero namiętność jego wybuchnęła płomieniem: „Musi być moją, choćbym miał poświęcić Gertrudę i majorat i życie nawet!“

Pojechał prosto do hotelu „*Continental*“.

— Czy hrabina Thunen w domu? — Nie, panie wyjechały, objaśnił portyer.—Czy nie wie dokąd? — Zdaje mu się, iż słyszał, że do Opery, ale nie może powiedzieć napewno.

Hans pojechał do Opery. Kupił bilet i wszedł do sali. Sióstr nie było. Następnie kazał się zawieźć do Komedyi Francuskiej. Ten sam rezultat. I tak jeździł od jednego teatru do drugiego — wszystko daremnie. Była już jedenasta. Spróbował jeszcze szczęścia u margrabiny de Marcy i pani Orsaki, lecz i tu spotkał go zawód. Zapóźno już było na poszukiwania w innych domach, zdecydował się tedy czekać na powrót pań, przed bramą hotelu

„*Continental*“. Co chciał właściwie powiedzieć okrutnej Izi?

Sam nie wiedział, — prześladowało go tylko jedno pragnienie: widzieć ją. Głowa mu płonęła, puls bił przyśpieszonem tętnem. Północ minęła, a on jeszcze chodził po trotuarze przed bramą hotelową; nadjechało kilka powozów, ale z żadnego nie wysiadła upragniona. Lunął deszcz rzęsisty, gwałtowny dreszcz wstrząsnął czekającym i nagle zrobiło mu się tak słabo, że omal nie stracił przytomności. Zawołał dorożki i kazał się zawieźć do swego hotelu. „Jutro, jutro“, szeptał, „zobaczę ją, padnę jej donóg... jutro...“

Z trudnością wszedł po schodach do swego pokoju; kamerdyner przeląkł się wyglądem pana i ułożył go śpiesznie do łóżka. Nazajutrz Hans majaczył w gorączce.

Izi dziwiła się, że wielbiciel jej się nie pokazywał. Znała o tyle mężczyzn, iż wiedziała, że taka odprawa, na jaką się zdobyła, może tylko jeszcze namiętność podniecić. Czem się to działo zatem, że Hans nie pośpieszył do niej, aby ją błagać o przebaczenie, skoro wiedział, iż ją obraził?

Wszystko zależy od sposobu, w jaki kobieta zapatruje się na bezczelny atak do swoich względów, albo zostaje nim oszołomiona i pozwala się wziąć sama nie wie jak; albo też przypomina sobie wszystkie zasady o cnocie, godności, szacunku dla samej siebie i t. d. i ogarnia ją szlachetne oburzenie. Na dnie tego oburzenia spoczywa wszakże, — jeśli winowajca jej się podoba, — pewne zadowolenie, do

którego sama przed sobą nie chcę się przyznać; nie chciałaby z pewnością, aby ta niesłychana zuchwałość zamieniła się na zupełną obojętność. Ale należy zuchwalca ukarać, — musi odpokutować, na kolanach błagać o przebaczenie i spróbować raz jeszcze pójść drogą wolniejszą, mniej gwałtowną... Wprawdzie nie wysłucha go nigdy, nie, nigdy,—ale on nie powinien nigdy zaprzestać starania się o jej względy — nigdy... Może ona pozwoli się wzruszyć i udzieli małej łaski, — może da, w przystępie roztkliwienia pocałunek, ale jeden — jedyny... albo, gdyby złożył u stóp jej wszystko: przyszłość, bogactwo, życie — może, może... Ale dlaczegóż nie przychodzi? Czy to taktyka — czy też odprawa poskutkowała na zawsze?..

Że Wetterstein leży chory, o tem nie miała Izi najmniejszego pojęcia. Następnego dnia musiała z siostrą opuścić Paryż i udać się do zamku księżnej ***.

Emil dowiedział się o chorobie przyjaciela dopiero nazajutrz po wyjeździe pań.

W tydzień później zresztą Hans był już zdrów zupełnie; tak dalece, że ustąpiła nietylko gorączka jego ciała, ale i duszy. Tymczasem nadszedł list od stryja, naglący do powrotu. Książę postanowił tedy wyjechać niezwłocznie.

Gdyby Izi Thunen była w Trouville, nie oparłby się może chęci odwiedzenia jej tam, ale do zamku księżnej jechać za nią nie mógł. Uważał te przeszkody, a nawet chorobę swoją, za zrządzenie Opatrzności, która łaskawie naprowadziła go znów na wio-

dącą do szczęścia drogę życiową, z jakiej już był omal nie zeszedł lekkomyślnie. Wysłał tedy depeszę do Gertrudy:

„Wyjeżdżam pojutrze; powracam do kraju, gdzie znajdę to, co mam najdroższego.

Hans".

XIII.

Nazajutrz po pikniku Amerykanin zameldował się u księcia Emila, który wyszedł z wyciągniętemi rękoma na spotkanie gościa.

— Miałem zamiar odwiedzić pana dzisiaj, — rzekł;—ztąd możesz pan wywnioskować, jaki rad jestem, że myśl sympatyczna przyprowadziła pana do mnie.

Wistocie, szczera sympatya pociągnęła ku sobie wzajemnie obu mężczyzn od pierwszego spotkania. Jeden w drugim poznał brata, członka owego, pozbawionego statutów, wolnomularstwa, na które składa się brak przesądów, miłość bliźniego i zaciekawienie światem, to zaciekawienie mianowicie, które nasłuchuje wszędzie, gdzie może się czegoś nauczyć i coś zbadać; które chce wszystkie zjawiska podporządkować prawom naturalnym; które w nieustają-

cym nigdy zapale obserwacyjnym usiłuje wydawać sądy bezstronne.

John Walgrave był mężczyzną lat trzydziestu trzech, a w powierzchowności swojej i obejściu niczem nie wykazywał Amerykanina. Ludzie, którzy odbywali liczne podróże, mówią kilkoma językami, a w tych językach wiele czytają, i w ten sposób przyswajają sobie najlepszą cząstkę ducha i istoty różnych narodowości, pozbywają się swoich błędów narodowych nawet w oznakach zewnętrznych i nie są, jako Anglicy sztywnymi, jako Niemcy ociężałymi, jako Francuzi powierzchownymi i nie próżnymi, jako Włosi komedyantami, a jako Amerykanie pospolitymi. Przedstawiają oni pod każdym względem uszlachetniony typ nowo powstającej narodowości, która sobie kiedyś musi świat zdobyć: narodowość obywateli świata. Walgrave czuł się członkiem tej narodowości i poznał odrazu w księciu rodaka.

Poufałość tych dwóch mężczyzn wzrastała bardzo szybko. Istnieje nietylko miłość, ale i przyjaźń „od pierwszego wejrzenia.“ Po godzinnej rozmowie z Walgrave'm stanął Emil z nim na stopie poufalszej, czuł się duchowo bardziej do niego zbliżony, niż po długoletnim obcowaniu, z przyjacielem swoim, Wetterstein'em.

Ponieważ książę oznajmił swemu nowemu przyjacielowi, że zamierza spędzić kilka tygodni w Trouville, przeto tamten, będąc zupełnie wolnym, postanowił udać się do tej samej miejscowości.

Na tarasie, z którego roztaczał się widok na morze,— w willi zamieszkanej w Trouville przez „bogini e“ — znajdowało się dwanaście osób: Kari, Izi, margrabina de Marcy, książe Hohenberg, który wczoraj przybył z Wiednia, gdzie chwilowo życie parlamentarne ucichło zupełnie, książe Abchazyi, książe Emil i Walgrave; oprócz tego jeszcze pięć innych osób z miejscowego towarzystwa kąpielowego. Godzina była ósma wieczorem; zebrani wstali przed chwilą od obiadu i pili kawę na tarasie. Rozmowa była raz ogólna, to znów prowadzona grupami lub parami. Goście przechadzali się, opierali o balustradę w jednym z rogów tarasu, albo też siadali w pobliżu gospodyni domu.

Księżna Kari opowiadała mężowi o pobycie na zamku orleańskim:

— Spędziłyśmy tam rozkoszny tydzień.

— Nudny *à périr*,—wtrąciła Izi.

— Wyznać muszę, że wydałaś mi się nieusposobioną i roztargnioną. Zła zapłata za uprzejmość naszej miłej gospodyni. Nie było nas tam wiele, to prawda, nie tańczono i nie urządzano żadnych innych zabaw.

— Nie, grano, w bezika i odczytywano głośno artykuły z *Correspondant*,—odezwała się znów Izi,— a tego rodzaju rozrywek nie można przecież nazwać „*d'une gaieté folle.*“

— Nie pozwalaj się wprowadzać w błąd, Ferdynandzie; zapewniam, że pobyt u księżnej *** był cudowny. Cały dom, utrzymany na stopie, przypominającej dwór; historyczny przepych pełnego pamią-

tek zamku; prawdziwie wytworny ton rozmów, surowa etykieta, słowem, zostałam tam z Francyą pogodzona i ogarnęło mnie złudzenie, że znajduję się pośród właściwych władców kraju.

— To właśnie interesuje mnie bardzo, — rzekł Hohenberg. — Jak stoi sprawa restauracyi? czy są jakie widoki? Jakie było zdanie książąt w tej kwestyi?

— O, unikają o ile możności rozmowy o polityce; jeśli przypadkiem ktoś wspomni o tym przedmiocie, zaraz znajdzie się ktoś inny, który usiłuje rozmowę odwrócić.

Walgrave, wziąwszy z rąk księżnej filiżankę kawy, wmieszał się do rozmowy:

— Pojmuję, że zdetronizowani książęta nie znajdują przyjemności w rozprawach politycznych. Dla potomków królewskich, których ojczyzna znajduje się pod rządem republikańskim, polityka zawiera tyle rzeczy gorszących...

— Zapewne,—potwierdził Hohenberg,—ale występować z należytą energią przeciw tym rzeczom gorszącym, przynosi dobroczynną ulgę. Zresztą ja umiałbym z pretendentami francuskimi prowadzić bardzo przyjemne rozmowy polityczne, zapewniając ich, że odzyskają swoje prawa.

— Byle im powiedzieć coś pocieszającego, czy też z przekonania?—spytał Walgrave.

— Z przekonania, panie Wa... Wi...

— Walgrave.

— Z najgłębszego przekonania, panie Walgrave. Francya jest jednoznaczną z królestwem. Cała

jej wielkość pochodzi od potęgi jej królów. Musi, jeżeli chce żyć, powrócić do monarchii. A ponieważ chęć zachowania życia jest popędem naturalnym, przeto i ona ucieknie się do tego środka ratunku, choćby tylko przez instynkt.

Walgrave poprosił jeszcze o kawałek cukru i oddalił się w milczeniu.

— Książe Emilu!—zawołał Hohenberg.

— Jestem!—odparł podchodząc wezwany, który stał w pewnej odległości, zapatrzony w mieniącą się stalową powierzchnię wody.

— Powiedz mi, kochany książę, co myślisz o przywróceniu królestwa?

— Protestuję stanowczo przeciw zadawaniu podobnych pytań nad brzegiem morza,—odezwała się Kari.—Przyjeżdża się tutaj dla odpoczynku po pracy i orzeźwienia się świeżem morskiem powietrzem; niezdrowo zatem jest łamać sobie głowę nad wartością różnych postaci rządu.

Emil skinął głową potakująco.

— Księżna mówi, jak książka,—rzekł.

— Z czerwonawemi złoconemi brzegami, — rzuciła półgłosem hrabina Thunen.

— Izi, zdaje mi się, że jesteś zadrosna o moją grzywę, bo mi ciągle dokuczasz tem czerwonawem złotem!

— W takim razie moja piękna szwagierka nie miałaby słuszności, bo niema nic piękniejszego nad krucze włosy. Powiedz, książę, czy...

— Kochany przyjacielu żądasz doprawdy zawiele odemnie! Jednym tchem mam rozstrzygnąć, czy

królestwo lepsze jest od rzeczypospolitej i czy czarne włosy są piękniejsze od jasnych. Mojem zdaniem kobieta, którą kochamy, jest zarówno piękna z ciemnemi jak z jasnemi włosami, a kraj, któremu służymy, powinien nam być zarówno drogim rządzony przez króla czy przez przedstawicieli ludu.

Koniec tomu pierwszego.